

B. Dyałowski

Wieliczka

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



111074



WIELICZKA.

SKARBY ZIEMI POLSKIEJ.



WIELICZKA

jej stan obecny i historia

przez

B. DYAKOWSKIEGO.



WARSZAWA.

NAKLAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”.

1909.

k. 142/82



11074

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

I.

O soli kamiennej, jej pokładach i żupach solnych w ogóle.

„Żupy solne Wieliczki niemniej są znakomite, jak piramidy egipskie, lecz użyteczniejsze. Są one chwalebna pamiątką pracowitości Polaków, a tamte tyranii i próżności Egipcyanów. Te dziećmi ziemi nazwać można, tamte wiatrów. Nie wyrównają one próżną wysokością swoją użytecznej tamtych głębokości“.

Temi słowy wyrażony jest zachwyt nad Wieliczką w opisie podróży pani de Geubriant do Polski, przedsięwziętej w wieku XVII.

Słowa te można uważać za zupełnie słuszne. Wieliczka bowiem, choć na pierwszy rzut oka może się

wydać komu mniej imponującą i zdumiewającą, niż piramidy, w rzeczywistości jednak zasługuje na niemniejszy zachwyt, zarówno ze względu na ilość pracy ludzkiej, włożonej w tę jedyną w swoim rodzaju kopalnię, jak i na wielką jej użyteczność.

Nie posiada ziemia nasza złota, srebra, ani drogich kamieni, ale zato posiada tak nieodzowne rzeczy codziennej potrzeby, jak chleb i sól. Bez złota i srebra można się doskonale obejść, bez soli byłoby nam bardzo ciężko, bo, chociaż sama przez się nie jest ona pokarmem, stanowi jednak nieodzowny dodatek do pokarmów i bez niej nie moglibyśmy ich trawić należycie.

Sól nie jest minerałem rzadkim, znajduje się ona w bardzo wielu miejscowościach, ale ze względu na ogromne znaczenie dla ludzi, zalicza się słusznie do naturalnych bogactw każdego kraju.

Antoni Czajkowski, wymieniając plody, spławiane Wisłą, nie zapomina wyliczyć wśród nich i soli.

Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze,
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
i cynk srebrzysty, i sól, i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały.



Święta Kunegunda, Królowa Polska, przyjmuje złoty pierścień,
który znaleziono w kopalniach Wieliczki.

Kraj nasz należy do obficie zaopatrzonych w sól, zwaną kamienną dla tego, iż wydobywa się ją z ziemi w postaci wielkich kamienistych brył.

Szczególnie bogate pokłady soli znajdują się w Galicyi. Ciągną się tam one długim pasem wzdłuż północnych stoków Karpat, na przestrzeni 80 mil geograficznych, od wsi Sól w Słodowickiem, na południowozachodzie od Krakowa, aż do Kossowa i Kut (na Bukowinie).

Z pokładów tych wytryska przeszło 600 źródeł słonych, a oprócz tego są tam liczne kopalnie soli, z których najgłośniejsze znajdują się w Bochni i Wieliczce w blizkiem sąsiedztwie Krakowa.

Kopalnie te zresztą należą nietylko do najgłośniejszych w Galicyi i Polsce. Słyną one daleko i szeroko w całym świecie, zarówno dla swego obszaru, jak i dla wspaniałości robót podziemnych. Zachwyt cudzoziemca nad nimi jest zupełnie usprawiedliwiony, niema bowiem na kuli ziemskiej drugiej kopalni soli, równie godnej widzenia, jak Wieliczka.

Zanim przystąpimy do jej opisu musimy powiedzieć pierwiej parę słów o pokładach soli wogóle.

Sól jest minerałem rozpuszczalnym w wodzie

i dla tego na powierzchni ziemi może się znajdować jedynie w krajach gorących a suchych i ubogich w deszcze, np. w stepach Azji środkowej i Europy południowo wschodniej i innych.

Wszędzie indziej sól zostaje prędko rozpuszczona przez deszcze i spłókana z powierzchni.

Dla tego pokłady jej znajdują się, zazwyczaj w pewnej głębokości pod ziemią, przykryte mniej lub więcej grubą warstwą gliny, która nie dopuszcza do nich wody deszczowej i zabezpiecza sól w ten sposób od wypłókania.

Dostawać się do nich mogą jedynie różne źródła podziemne, które sącząc się przez te pokłady, rozpuszczają część soli i następnie wydostają się w różnych miejscach na powierzchnię. Są to właśnie źródła słone, których tyle wytryska u nas z północnych stoków Karpat.

Ze źródeł tych ludzie otrzymają sól za pomocą wygotowywania jej na ogniu i dla tego sól, tak otrzymana, nazywa się warzoną albo warzonką.

Chcąc wydobyć sól kamienną pokładów znajdujących się w ziemi, ludzie muszą przebić zewnętrzną warstwę gliny, kopiąc w niej odpowiednio głębokie

otwory, jakby studnie, zwane szybami. Otworami tymi dostają się do pokładów soli, i wydobywają stamtąd ten cenny mineral w postaci mniejszych lub większych brył.

Rozciągłość takich pokładów na długość i na szerokość bywa rozmaita w różnych miejscach. A i grubość mają one nie wszędzie jednakową.

Nie ciągną się przytem zwykle wglęb jednolitą masą, lecz składają się zazwyczaj z kilku warstw, jakby piętr poprzedzielanych grubszymi lub cieńszymi pokładami gliny. Odpowiednio do tego i kopalnia składa się zwykle również z kilku piętr.

Warstwy gliny, przedzielające oddzielne piętra, miewają nieraz dziesiątki metrów grubości i zawierają w sobie często ogromne bryły soli, którą górnicy wybierają również.

Po wybraniu takiej soli powstają w glinie pomiędzy głównymi piętrami tak zwane komory, rodzaj pieczar podziemnych, nieraz bardzo nawet znacznej wielkości, liczących dziesiątki metrów na grubość, szerokość i wysokość.

W pokładach sól kamienna nie występuje nigdy sama; znajdują się obok niej zawsze pewne inne mi-

nerały, bez których soli nie spotykamy nigdy. Do takich należy przedewszystkiem gips oraz zbliżony do niego z wielu własności inny minerał, zwany anhydrytem. Są to stali towarzysze soli. Oprócz nich domieszane są jeszcze niektóre inne minerały, szczególnie obficie w górnych warstwach, gdzie biorą one nawet zwykle liczebną przewagę nad solą. Z tego powodu górne piętra pokładów, jako zawierające mniej soli, należą do mniej cennych. Niemieccy górnicy przezwali je „śmietnikiem solnym,“ dla tego, że zagradzają drogę do czystej soli i że trzeba je uprzętnąć, jak śmieci, żeby się do niej dostać.

Najcenniejsze są dolne piętra, zawierają bowiem sól najobficiej i najczystszej, w najlepszym gatunku.

Pokłady soli i kopalnie tego pożytecznego minerału znajdujemy w wielu krajach, a wszędzie przeplatane są one warstwami gliny, wszędzie, jako domieszki, zawierają gips anhydryt oraz niektóre inne minerały.

Nasuwa się też odrazu pytanie, w jaki sposób utworzyły się te pokłady soli, a także dlaczego występują zawsze razem z gliną oraz pewnymi innymi minerałami.

Uczeni długo zastanawiali się nad tą kwestyą, badali starannie pokłady soli w różnych kopalniach i wreszcie wyjaśnili należycie ich powstanie i sposób utworzenia się.

Wiadomo, że jeżeli do kwarty wody (1000 gramów czyli prawie $2\frac{1}{2}$ funta) wrzucimy 350 gramów (przeszło $\frac{3}{4}$ funta naszego) soli, to cała ta sól rozpuści się w niej zupełnie. Jeżeli jednak dodamy jeszcze trochę, to ta ilość, jaka będzie po nad 350 gramów, nie rozpuści się już wcale i zostanie na dnie, woda bowiem może rozpuszczać w sobie sól tylko w takim stosunku, żeby jej znajdowało się nie więcej nad 300 części na 1000 części wody. Taki roztwór, zawierający możebnie największą ilość soli, nazywa się nasyconym: chociażbyśmy do niego dodali jak najwięcej soli, nie rozpuści się już ani jedna jej szczypta.

Jeżeli taki nasycony roztwór soli wylejemy na talerz lub miskę i postawimy na słońcu, żeby woda mogła łatwo parować, to wkrótce zmniejszy się w nim jej ilość, soli jednak zostanie tyle, co było, za dużo zatem w stosunku do ilości wody; a że woda nie może nigdy zawierać jej więcej po nad ilość nasycającą, cały więc ten nadmiar soli wydzielili się z roztworu,

opadnie na dno i utworzy na niem cieniutką warstewkę. Im następnie woda będzie więcej parowała, tym więcej będzie osadzało się soli i tym grubsza jej warstwa pozostanie na talerzu.

Takie zjawiska osadzania się soli na dnie zachodzą i w naturze, mianowicie wszędzie tam, gdzie woda jest nią nasycona. Nie stosuje się to naturalnie, do mórz, ponieważ tam stratę wody wskutek parowania pokrywa sownie obfity jej dopływ ze wszystkich rzek, wlewających się do morza. To też nie bywa ono nigdy nasycone solą i nie zawiera jej nigdy nawet w ilości zbliżonej do 350 części na 1000.

Co innego jeziora, ubogie w dopływy i tak zwane laguny, to jest zatoki zamknięte i odcięte od morza, zwłaszcza gdy leżą w klimacie cieplejszym. Tutaj z powodu gorąca w lecie woda paruje bardzo silnie, a że dopływów jest mało, zachodzi więc to samo, co w talerzu, wystawionym na działanie słońca: roztwór staje się coraz gęściejszym, nasyca się stopniowo i następnie zaczyna wydzielać z siebie sól, która osiada wzdłuż brzegów i na dnie, tworząc na nim mniej lub więcej grubą warstwą. Wraz z nią osiadają różne

inne minerały, rozpuszczone w wodzie morskiej jak gips, anhydryt i t. d.

Jezior takich na ziemi znajduje się bardzo dużo. Słynne jest oddawna z wysychania morze Martwe, w którym woda doszła już do takiego nasycenia solą, że żadne stworzenie żyć w niem nie może. Bardzo dużo (do 2000) takich jezior posiadają stepy Astrachańskie, okalające od północy morze Kaspjskie. Stanowią one dawne dno wielkiego morza, które powoli wyschło, pozostawiając, jako ślad po sobie, te liczne jeziora, wysychające stopniowo tak samo, jak że ono niegdyś.

Największe wśród nich jest jezioro Eltońskie, mające 250 kilometrów kwadratowych (około 5 mil) powierzchni. Na nim właśnie sprowadzono w sposób nadzwyczaj przekonujący tworzenie się osadów solnych. W jeziorze tym co rok na początku lata, osadza się na dnie cienka warstewka gipsu, który jest trudniej rozpuszczalny od soli i dla tego wydziela się pierwej; potem w miarę większego parowania, tworzy się na nim gruby pokład soli, osadzający się już do jesieni. Następnie, gdy powietrze się oziębi, parowanie się zmniejsza i osadzanie soli ustaje. A gdy przyj-

dzie wiosna i skąpe dopływy jeziora zostaną nieco obficie zaopatrzone w wodę, wlewają się one do niego, a wraz z nią przynoszą zawsze pewną ilość mułu gliniastego i piasku, którymi przykrywają pokłady solne, powstałe zeszłego lata.

Powtarza się to wciąż w kółko; co lato tworzą się nowe pokłady soli oraz towarzyszących jej minerałów rozpuszczalnych; co wiosna woda pokrywa je warstwą gliny i piasku. Jeżeli wiosna trafi się sucha, pokład gliny może się wcale nie utworzyć, i nowa letnia warstwa soli osiądzie wprost na dawnej. Gdy znowuż lato bywa mokre, sól nie osiądzie wcale albo osiądzie w nieznacznej ilości i wówczas wytworzy się grubsza warstwa gliny. W każdym razie wody w jeziorze wciąż ubywa, aż wreszcie wyschnie ono zupełnie i przestoczy się w mniej lub więcej gruby pokład soli kamiennej,

W taki sposób powstały wszystkie pokłady tego minerału, które znajdują się na ziemi; i tak samo tworzą się wciąż nowe z istniejących obecnie jezior słonych.

Jezioro Eltońskie jest jeszcze bardzo oddalone od zupełnego wyschnięcia; dawniej jednak było ono

znacznie większe, jak tego dowodzą duże pokłady soli kamiennej, poprzedzielane warstwami gliny i znajdujące się w pobliżu jego brzegów. Morze Martwe posunęło się już dalej i jest znacznie więcej wyschnięte.

Co się tyczy Wieliczki, to uczeni przypuszczają, że pokłady jej powstały nie z jeziora, lecz z laguny czyli zatoki, odciętej od morza, które pokrywało niegdyś całą nizinę u stóp Karpat, znajdowane bowiem w jej soli szczątki muszelek należą do gatunków morskich. Morze to od czasu do czasu wlewało wodę słoną do laguny, a ciągle parowanie zgęszczało roztwór i wywoływało tworzenie się osadów soli na dnie.

Było to możebne dzięki temu, że w owych dawnych czasach klimat zarówno u nas, jak i w całej Europie środkowej, był znacznie cieplejszy, taki mniej więcej, jak dziś na południowych wybrzeżach morza Kaspijskiego. Morze to w danej chwili posiada właśnie takie prawie zupełnie odcięte zatoki (np. Adży-Darja), na których dnie osadzają się co lato warstwy soli kamiennej, przygotowując nowe jej pokłady dla przyszłych czasów i przyszłych pokoleń.¹

II.

W i e l i c z k a.

Wieliczka znajduje się na południowy wschód od Krakowa, w odległości przeszło półtorej mili. W miejscu tem od niepamiętnych czasów istniała osada zwana Wielką Solą; była ona zresztą lichą wioszczką, aż do końca XIII w., kiedy została podniesioną do rzędu miasta.

Dostać się można do Wieliczki koleją lub szosą, przez Podgórze, miasto położone naprzeciwko Krakowa po drugiej stronie Wisły. Jazda koleją trwa 40 minut, koźmi przeszło godzinę. Sposoby komunikacyi są zresztą bardzo urozmaiczone: jechać bowiem można



z Podgórze omnibusem, dorożką, albo kto chce podróżować tanio, zwykłym chłopskim wózkiem. Na wózek taki można się zabrać nawet za dwie „szóstki“ (20 centów), jeżeli się jedzie do spółki z innymi podróżnymi, których wtedy gościnnie właściciel wózka, nabiera jak najwięcej.

Jazda taka nie należy do wygodnych: jeden bok ugniata nam najbliższy sąsiad, drugim uderzamy co chwila o twardy brzeg półkoszka, przy łada szybszej jeździe wózek trzęsie niemiłosiernie, zwłaszcza gdy się ma szczęście siedzieć nad osiami. Ale za to nie jest tu duszno, jak w wagonie lub omnibusie, i możemy dowoli nasycić wzrok widokami okolic Krakowa, otaczających go wzgórzy, wiosek, pól i lasków.

Droga zresztą nie potrwa długo. Nie roztrzęsiemy jeszcze w zupełności kości, a już oczom naszym ukaże się skromne, ale nie brzydkie miasteczko, otoczone wzgórzami i samo częściowo rozrzucone na wzgórzach. Domki przeważnie nie duże, drewniane, w znacznej części z ogródkami. Wyższe, piętrowe kamienice kupią się w rynku. Po nad inne budynki strzela w górę wieżyca kościoła.

Miasto istotnie nie wielkie: liczy tylko 6300 mieszkańców. Na mieszkańcach zaś wyraża się wybitnie jego górniczy charakter, z tych bowiem 6300 ludzi, 4200 należy do kolonii kopalnianej: urzędników, dozorców i górników.

Chociaż Wieliczka istnieje od niepamiętnych czasów, bardzo jednak mało posiada osobliwości dawnych i nigdy nie posiadała ich wiele.

Składały się na to dwie przyczyny: z jednej strony obawa zbytowego obciążania gruntu, który jest mocno podminowany przez kopalnię, znajdującą się bezpośrednio pod miastem; z drugiej zaś strony częste pożary, które nawiedzały miasto—zwłaszcza dawniej.

Wydobywanie soli w ciągu kilku wieków, kopalnie coraz to nowych korytarzy, komór i szybów, wytworzyło olbrzymie pustki w kopalni i wskutek tego wywołało takie osadzanie się ziemi, że dziś miasto leży w kotlinie, gdy według dawnych kronik, wznosiło się na wzgórzu, z którego roztaczał się piękny widok.

Te podziemne pustki zapadały stę nieraz, pociągając za sobą od czasu do czasu zawalanie się domów

w mieście. Stanowiło to ostrzeżenie dla mieszkańców, że cała Wieliczka może kiedyś runąć tak w głąb kopalni, gdy pustek tych będzie więcej, albo gdy miasto zabuduje się zbyt wysokimi i zbyt ciężkimi domostwami.

Wynikiem tych obaw były dawniejsze zakazy stawiania w Wieliczce domów murowanych, a także projekt, który powstał później, za panowania Maryi Teresy, żeby całe miasto przenieść nieco dalej, poza obręb kopalni.

Wobec takich obaw i zakazów, Wieliczka mogła się zabudowywać jedynie niewielkimi drewnianymi domkami, a i te niszczył bardzo często ogień. Prawie w każdym wieku nawiedzały ją kilkakrotnie mniejsze iub większe pożary. Najgroźniejsze zdarzyły się w latach: 1473, 1622, 1698 i 1718.

Nic więc dziwnego, że Wieliczka nie posiada prawie wcale starożytnych budynków. Jedynym takim dawnym zabytkiem, który przetrwał do naszych czasów, jest stary zamek, wzniesiony tu jeszcze przez „Króla chłopów“. Niedys obronny i warowny, otoczony wysokim murem, z czasem (w końcu w. XVIII)

przebudowany został na mieszkanie żupników czyli zarządów kopalni i siedzibą zarządu. Mieści też dziś w sobie urzędy i magazyny solne.

Jest to najstarszy budynek w Wieliczce. Starożytny był również stary kościół parafialny, ale ten został uszkodzony przez trzęsienie ziemi w r. 1787 i na jego miejscu wzniesiony nowy w r. 1804. Ciekawa rzecz przytem, że musiano go budować dwa razy, pierwotna bowiem świątynia, chociaż bardzo piękna, okazała się za ciężką dla gruntu wielickiego tak, iż trzeba było rozebrać i wznieść inną, znacznie lżejszą.

Oprócz tego są tu jeszcze dwa inne kościoły: św. Sebastjana, oraz kościół przy klasztorze Ojców Reformatów, ufundowany w r. 1625, a przebudowany na nowo w r. 1718, więc jeszcze nie tak bardzo starożytny.

Z rzeczy nowszych na uwagę zasługuje muzeum salinarne, założone bardzo niedawno, bo w r. 1898 na pamiątkę 50 letniego jubileuszu cesarza Franciszka Józefa. Zawiera ono wszystko, co dotyczy kopalń wielickich, a więc okazy wielkich gatunków soli. znajdujących tutaj, narzędzia górnicze i różne inne przed-

mioty, mające związek z tutejszemi solniami, jak najdawniejsze zabytki kopalni, plany, ryciny, akta, rachunki i pamiątki.

Znajduje się tu między innymi słynny róg górników wielickich, który złużył do picia w czasie różnych uroczystości.

Jest to róg bawoli, okuty srebrnymi obręczami i podtrzymywany przez klęczącą postać Herkulesa, wyrobioną również ze srebra. Na nim wryty jest rok 1434, orzeł Zyguntowski, wąż Sforcyów, oraz herby Bonarów i Ogończyków. Znaki te wskazują, iż róg ów ofiarował górnikom, w r. 1534 za panowania Zygmunta I i Bony z domu Sforcyów, ówczesny żupnik—Seweryn Bonar, który też kazał umieścić na nim herby królewskie; a obok nich swój własny i żony swojej, z domu Kościeleckiej, herbu Ogończyk.

Piękny ten róg posiada swoją historię, bardzo przytem ciekawą. Dochowawszy się do naszych czasów, stał się on przedmiotem powszechnego podziwu: posyłano go na różne wystawy (do Krakowa i Wiednia), fotografowano go, odrysowywano, róg zyskiwał

coraz większą sławę, jako nadzwyczaj piękny i cenny zabytek.

Ta sława nie wyszła mu jednak na dobre, bo oto nagle po jednej w wystaw (Wiedeńskiej z r. 1873) róg gdzieś zaginął i długi czas nie wiadano nawet, gdzie się zapodział. Aż wreszcie pokazało się, że znajduje się w posiadaniu Rotszylda, głośnego bankiera wiedeńskiego. który go miał nabyć za pośrednictwem jakiegoś antykwaryusza od jednego z urzędników salinarnych. Gdy Rotszylda poproszono o zwrot salinom skradzionego rogu, obiecał to uczynić, ale dopiero po swojej śmierci. Tak się też stało; i obecnie róg wrócił znów do Wieliczki.

Z innych rzeczy, godnych widzenia, warto jeszcze wspomnieć parę ogrodów publicznych, oraz pomnik Mickiewicza, dłuta rzeźbiarza Tadeusza Błotnickiego z r. 1903.

Największą atoli i jedyną w swoim rodzaju osobliwość tego miasta stanowią jego kopalnie, głośne żupy wielickie, którym miasto zawdzięcza całą swą sławę, całe utrzymanie i cały dobrobyt mieszkańców. O obejrzenie też salin chodzi przedewszystkiem każdemu, kto przyjeżdża do Wieliczki.

Mnóstwo osobliwości, dokonanych ręką ludzką w głębi tej kopalni, wprawia widza w taki zachwyt, że mimowoli doznaje się wrażenia, jak gdyby się było w jakiejś zaczarowanej krainie. W taki sposób przedstawia Wieliczkę bardzo wielu autorów, którzy opisali swe wrażenia z wielkiem przejęciem się i zapałem.

Ale niektórzy autorowie, zwłaszcza dawniejsi, opisując kopalnię, wspadali już nie w zachwyt, ale w straszną przesadę, podając obok prawdy bajki najwierutniejsze, które potem powtarzali jeden za drugim. Opowiadano naprzykład, że jest to całe miasto podziemne, z domami i pałacami, że ludzie rodzą się tam i umierają, nie opuszczając kopalni ani na chwilę i nie widząc nigdy światła słonecznego, oraz tym podobne brednie.

Do takich autorów słusznie zastosować można dwuwiersz Krasickiego:

Stąd też jeden z drugim owczym bieży pędem,
Skoro zełgał najpierwszy, wszyscy łgali rzędem.

Tymczasem kopalnie wielickie są same przez się tak piękne i zdumiewające, że nie potrzeba uciekać się

do przesady i bajek, aby wyrazić całą ich wspaniałość. Ale z drugiej strony potrzeba koniecznie zobaczyć je samemu, żeby wyrobić sobie o nich należyte pojęcie, żeby zrozumieć wrażenie, jakie wywiera kilkogodzinny pobyt w tej podziemnej krainie.

III.

S a l i n y.

(Ich rozciągłość, sposoby wydobywania soli, gospodarka w kopalni).

Kopalnie rozciągają się tuż pod miastem w kształcie wydłużonej elipsy, z zachodu na wschód, przeszło na pół mili (3800 metrów) wzdłuż i niecały kilometr (950 metrów) wszerz, wgląb zaś więcej niż na 400 metrów.

Gdyby można było wydzwignąć całą tę masę soli i postawić ją pionowo w kierunku długości, to byśmy mieli górę w kształcie wielkiego słupa, przewyższającą wysokością półtora razy najwynioślejsze szczyty

tatrzańskie, a w obwodzie mającego dwa kilometry i pół, czyli trzecią część mili.

Gdybyśmy zaś rozbili całą tę masę na słupy czworograniaste, po 2 metry (przeszło wzrost człowieka) na wysokość, a po jednym na długość i szerokość, to byśmy otrzymali ich tyle, że stawiając jeden obok drugiego, moglibyśmy opasać nimi ziemię w dwu kierunkach: wzdłuż równika i wzdłuż jednego z południków—i jeszczeby ich zostało sporo.

Sól ta przykryta jest z wierzchu niezbyt grubą warstwą ziemi rodzajnej i grubszą, miejscami przeszło 30-metrową warstwą żółtej gliny, oraz różnych ilów. Pod niemi dopiero, na głębokości prawie 40 metrów, zaczynają się solonośne oraz pokłady mniej lub więcej czystej soli, nie jednolitą masą zresztą, ale przegradzaną warstwami gliny. Ciągną się one do głębokości koło 400 metrów.

W pokładach tych znajdują się trzy główne odmiany soli: 1) zielona, tak nazwana dla szaro-zielonkowej barwy, zanieczyszczona, gliną i anhydrytem i z tego powodu nienadająca się na pokarm, 2) sól spiżowa, ciemno-szara, również zanieczyszczona piaskiem i gliną, ale nie w takim stopniu; nazwę miała

otrzymać od tego, iż pierwsi wydobyli ją z kopalni robotnicy, sprowadzeni ze Spiżu, albo, jak chcą inni, od tego, iż w mniejszych odłamach przy uderzaniu wydaje dźwięk podobny do spiżu; albo też wreszcie od łacińskiej nazwy „sal spissum“, co znaczy „sól zbita, twarda“ i 3) najlepsza i najczystsza sól szybikową, barwy szarawej, nadająca się najlepiej do celów pokarmowych.

Trzy te odmiany rozłożone są w taki sposób, iż w górnych pokładach znajdujemy wyłącznie sól najgorszą, zieloną; w dolnych wszystkie trzy, poprzedzielane gliną, solaną, przyczem sól szybikowa leży zwykle warstwami cienkimi, po parę metrów grubości, warstwy spiżowe dochodzą do 6 metrów, najgrubsze zaś są zielonej, mają bowiem 30 i 40 metrów.

Cała ta olbrzymia masa soli pocięta jest mnóstwem pionowych i poziomych korytarzy. Pionowe, czyli szyby, w liczbie ośmiu, służą do spuszczenia się w głąb kopalni, oraz do przewiewu powietrza; poziome, rozchodzą się po całej kopalni w najrozmaitszych kierunkach i w rozmaitej głębokości. Powstały one w części wskutek wydobywania w tych miejscach soli, w części zaś zostały wykute dla lepszego utrzymywania

nia komunikacji podziemnej. Korytarze te są dość obszerne, mają mniej więcej po 2 metry wszcz i na wysokość, ciągną się zaś na kilometrowych przestrzeniach, czy to w skale solnej, czy też w pakładach glin i ilów. Ogólna ich długość wynosi przeszło 109 kilometrów. Przecinając się jedne z drugimi, tworzą one taką splątana sieć, taki labirynt, że tylko górnik, dokładnie obezwany z kopalnią, potrafi sobie z nim dać radę bez zbłądzenia. Zwykły zaś śmiertelnik, któryby się odważył zapuścić tam bez przewodnika, zgubiłby się w tym labiryncie i napróżno by szukał z niego wyjścia.

Cała kopalnia zajmuje 7 pięter głównych, czyli poziomów, połączonych ze sobą w części pionowymi szymbami, w części zaś pochyłymi korytarzami, noszącymi nazwę pochylni. Dla publiczności, chcącej zwiedzać kopalnię, dostępne są jedynie 3 górne piętra. Do głębszych mają prawo wstępu jedynie górnicy, zajęci wydobywaniem, czyli, jak się tu mówi... odbudową sola.

Dużo lat się złożyło i dużo pracy ludzkiej poszło na wykucie tylu chodników i tyle komór między nimi. ile widzimy dzisiaj, nie mało soli wydobyto już stam-

tań i wyprawiono w świat, a jednakże i dziś jeszcze kopalnia wielicka zawiera nieprzebrane skarby i czynną będzie jeszcze całe szeregi lat.

Wydobywanie czyli „odbudowę“ soli skuteczniejszą się w sposób dwojaki: albo za pomocą rozsadzania prochem albo też wbijaniem klinów stalowych.

Przedewszystkiem górnik obrębuje upatrzony kawał ściany solnej, robiąc kilofami naokoło takiego oczyszczenia dwa głębokie wręby pionowe i dwa poziome. Następnie wierci w tych zagłębieniach dziury, nabija je prochem, przewleka lont, zabija następnie otwór tak zwaną „hałdą“, t. j. ziemią ilowatą i miałem solnym, a potem zapala lont, przewleczony przez hałdę, i ucieka.

Lont pali się wolno, aż iskra dojdzie do prochu. Wówczas następuje wybuch, który odrywa od ściany olbrzymią bryłę soli, zwaną „kłapiem“, a ważącą nieraz do 40 centnarów metrycznych *) i więcej. Pęka on, padając na kilku mniejszych brył, — czyli „kruchoń“, które górnicy rozbijają ostatecznie na jeszcze mniejsze kawałki, odpowiednie do przewozu.

*) Centnar metryczny (100 kilogramów) odpowiada mniej więcej 6 pudom.



Wnętrze kopalni w Wieliczce za lat dawnych.

Łoskot, który powstaje przy takim rozsadzaniu skał solnych, rozchodzi się donośnym echem po całej kopalni, wstrząsając powalami jej korytarzy i wywołując zapadanie się chodników lub komór, jeżeli wybuch był zrobiony bez należytej ostrożności.

Obok tego sposobu wydobywania soli do dzisiaj zachował jeszcze dawniejszy, polegający na zbijaniu ścian za pomocą klinów stalowych. I tutaj najpierw górnik otacza ławę solną czterema wrębami, a potem oddziela „kłapiec“ wbijaniem klinów stalowych z boku.

„Kłapcie“ otrzymane tym sposobem bywają również nieraz olbrzymiej wielkości i dochodzą do 200 centnarów „metrycznych“ wagi.

Bryły odrywane przy dzieleniu „kłapci“ czyli „ław“, noszą nazwę „bałwanów“. Dawniej miewały one kształt beczek, w tym celu, żeby łatwiej było je toczyć i dochodziły do olbrzymiej wielkości po kilka i więcej centnarów tak, że aż zdumiewać się potrzeba, jak sobie dawano radę z ich wydobywaniem w głębi ziemi, przy ówczesnych środkach przewozowych.

Dzisiaj rozbija się sól na niezbyt duże kawałki czterdziestokilogramowe. takie bowiem kupcy najchę-

niej nabywają. Drobniejsze zaś okruchy górniczy tłuką i napełniają niemi mniejsze lub większe beczki zwane solówkami i półsolówkami.

Wydobyta sól pakuje się do małych wózków i wagoników, które ciągną konie albo też pchają tak zwani wozacy, jeśli chodzi o przewiezienie ich na niezbyt wieką odległość. Dla wózków i wagoników położone są szyny w korytarzach, po których czy koń, czy człowiek może je ciągnąć i prędzej i łatwiej.

Oprócz tego są i wózki, poruszające się automatycznie, same przez się po tak zwanych pochylniach, czyli pochyłych galeryach łączących ukośnie różne poziomy. Pochylnie takie mają dwa tory i gdy po jednym biegnie wózek pełny na dół, po drugim jednocześnie sunie się do góry wózek pusty, złączony z poprzednim.

Po pochylni można spuszczać „urobek“ z miejsc wyższych na niższe; po korytarzach poziomych muszą go zawsze ciągnąć konie lub ludzie.

Tak zaś czy owak, wydobyta sól dowozi się do szybu pionowego, gdzie inni robotnicy ładują ją na winde, a maszyna parowa wyciąga do góry. Tam prze-

kładają sól do wagonów kolejowych i puszczają ją w świat.

Kawały czterdziestokilogramowe ładują się zawsze wprost do wagonów; mniejsze zaś odłamki albo rzuca się również wprost do wagonów albo też miele się w młynach solnych na proszek. Zależy to od celu, do jakiego sól ma służyć.

Wieliczka wytwarza sól do celu dwojako: spożywczą i do fabryk. W wielkich czterdziestokilogramowych bryłach sprzedaje się wyłącznie sól spożywczą i fabryczną w stanie mialkim albo w mniejszych nieforemnych kawalkach. Zresztą wypuszcza się także i sproszkowaną sól spożywczą. Fabrycznej soli używa się głównie do wyrobu sody, po za tem i do niektórych innych celów przemysłowych. Soli fabrycznej nie puszcza się w świat w stanie czystym, lecz dodaje się do niej różnych domieszek (soli glauberskiej, braunsztajnu i t. p.), co nadaje jej smak gorzki i wogóle czyni ją niejadalną.

Oprócz tego wysyła się także sól bydłącą. Są to najgorsze, najmniej czyste odmiany soli, zanleczyszczone jeszcze umyślnie różnemi gorzkiemi domieszkami. Sól ta jest znacznie tańsza od spożywczej, ale do je-

dzenia nadaje się wyłącznie dla bydła. Wogóle jest to najgorszy gatunek soli.

Wieliczka produkuje rocznie okrągło milion centnarów metrycznych, czyli około 6 milionów pudów, a zatrudnia ogółem 1330 ludzi robotników i urzędników.

Robotnicy kopalniani noszą rozmaite nazwy, zależnie od czynności, którą się zajmują. Do najważniejszych należą: kopacze i kruszaczy, zatrudnieni przy „odbudowie“ soli; oraz „piecowi“ *) — przy „pędzeniu“ to jest kopaniu nowych chodników. Dalej idą: wozacy, tragarze, czeladź do koni i inni.

Robotami kieruje w każdym oddziale urzędnik, zwany sztygarem; pomocnik jego nosi nazwę warcabszego. Dozorcy, wykonywający rozporządzenia przełożonych i pilnujący robotników, zowią się seniorami albo starejszymi.

Po za tem zatrudnieni są przy kopalni i różni rzemieślnicy: cieśle, powroźnicy, rymarze i t. d.

Oprócz ludzi pracuje też w salinach pewna ilość

* Piec—dawna nazwa chodnika.

koni. Jest ich tam obecnie szesnaście. Mają one w kopalni swoje stajnie i zazwyczaj nie opuszczają już podziemi do końca życia. Że jednak są dobrze odżywiane i nie pracują nad siłę, trzymają się przeważnie dobrze i pełnią służbę nieraz po kilkanaście lat.

Dziś koni używa się głównie do ciągnięcia wózków z solą; dawniej pracowały one także w kieratach, służących do wyciągania ludzi i soli z kopalni. Obecnie zastępuje je w tej pracy maszyna parowa.

Praca w kopalni nie polega jedynie na samej tylko „odbudowie“ soli i wywożeniu jej na powierzchnię ziemi. Jest tam mnóstwo innych dodatkowych zajęć, niemniej ważnych i koniecznych dla prawidłowego biegu pracy w kopalni i dla zachowania się w należytym stanie.

Do takich bardzo ważnych czynności należy zabezpieczanie salin od zawalenia się.

Widzieliśmy wyżej, że wskutek obaw przed taką katastrofą myślano nawet o przeniesieniu samego miasta po za obręb kopalni.

Nie przyszło jednak de tego, a natomiast zwrócono baczniejszą uwagę na wzmocnienie pował w komorach i korytarzach, żeby zapobiedz ich runięciu.

Pierwotnie za dawnych czasów wydobywano sól, nie dbając wcale o podparcie wybranych pustek. Z czasem jednak, gdy nagromadziło się ich więcej i gdy zaczęły się zdarzać zapadania się szybów, zapobiegano temu za pomocą filarów z soli, które pozostawiano w pewnych odstępach, albo też za pomocą drewnianych podpór czyli kant. Kanty takie składają się z okrągłaków, układanych na salce w stosy, jedne podłużnie, drugie poprzecznie i podpierających w ten sposób sklepienie. Oprócz tego i samym powalom zaczęto nadawać kształt wkłęsły, sklepiony, jako lepiej znaczący ciśnienie, niż płaski.

W ciągu wieków poszły w ten sposób do kopalni całe lasy na kanty do podpierania sklepień. Pełnią one i dziś jeszcze doskonale swą służbę, drzewo bowiem nasiąknięte solą przechowuje się znakomicie długi czas i nie łatwo ulega gniciu. Takie jednak podpory nie są wcale bezpieczne na wypadek ognia i pożaru, co zdarza się w kopalni od czasu do czasu; pociągnęły one za sobą zazwyczaj zapadanie się całych szybów.

Zresztą tam, gdzie ciśnienie górnych warstw jest znaczne, kanty drewniane z czasem przestają być do-

stateczne i trzeba je wzmacniać nowemi podporamai.

Trzeba wreszcie wziąć dod uwagę, że w ciągu wieków, od kiedy kopalnia jest czynna, natworzyło się w niej tyle pustek, że nawet pomimo wszelkich starań obawa zapadnięcia się z każdym dniem stawała się coraz groźniejszą.

Nie można dać zupełnie ścisłego pojęcia o ilości soli, wybranej dotychczas z Wieliczki, początki bowiem kopalni giną w pomroce dziejowej, ściśle zaś zapisywanie zaczęło się dopiero w wieku XIV. Wydobyto jej jednak niewątpliwie z kilkaset milionów centnarów metrycznych.

Nie daje to atoli jeszcze dokładnego pojęcia o wielkości wszystkich pustek w kopalni, wybierano z nich bowiem nie samą tylko czystą sól, ale jeszcze glinę i towarzyszące soli minerały. Ogólna pojemność wszystkich pustek przewyższa znacznie ilość wydobytej soli i wynosi przeszło półtora miliona metrów sześciennych, wliczając w to zarówno komory, jak szyby i drogi.

Ilość pustek wzrasta z każdym dniem, ponieważ kopalnia ciągle się rozwija i ciągle wydobywają z niej

nowe ilości soli. Wzrasta więc ciągle niebezpieczeństwo zawalenia się i wszelkie podpieranie drewnianymi kasteptami mogą z czasem stać się niedostateczne.

Postanowiono więc chwycić się radykalnego środka i zasypać część pustych komór, oraz nieużywanych już dzisiaj szybów i korytarzy, żeby w ten sposób zmniejszyć niebezpieczeństwo runięcia innych a także ułatwić kopanie nowych.

Takie zasypywanie pustych komór robiono i dawniej, ale dorywczo. Do wykonania tego planu na wielką skalę przystąpiono dopiero w ostatnich kilku latach i zakupiono w tym celu okoliczne wzgórza na północ od Wieliczki, obfitujące w piaszczystą glinę, która nadaje się znakomicie do takiego zasypywania. Następnie połączono ją z kopalnią za pomocą kolejki elektrycznej, która dowozi wózki z gliną do poszczególnych szybów; szybami robotnicy spuszczaają pełne wózki w głąb, rozwożą je do komór przeznaczonych na zasypanie i tam opróżniają.

Pracę rozpoczęto od zasypiania pustki, zwanej kamorą Steinhausera, a mającej 25000 metrów sześciennych pojemności i 35 metrów wysokości. To znaczy,

że na wysokość mógłby się był prawie w niej zmieścić cały kościół Maryacki bez wież. Komorę tę nie tak dawno jeszcze znali dobrze goście zwiedzający Wieliczkę: w niej bowiem palono sztuczne ognie, puszczano rakiety i pokazywano w szybie, spuszcającym się do niej tak zwaną „piekielną jazdę“, to jest zjeżdżanie i wjeżdżanie górników na linie.

Dziś komora ta należy już do przeszłości: miejsce soli, którą wydobyła stamtąd ręka przodków przed laty, zajęły glina i piasek, nasypane dłonią następnych pokoleń, dbałych o życie ludzkie i całość kopalni.

Ale oprócz tej komory przeznaczonych jest na zasypanie kilkaset innych, sporo więc jeszcze lat upłynie, zanim ta praca zostanie ukończona, a tymczasem na miejsce zasypanych powstawać będą wciąż inne i nowe.

Wzmacniają więc ludzie kopalnię, żeby się nie zawaliła, ale jednocześnie nie zapominają i o innym czynniku, który również może się stać niebezpiecznym, mianowicie o wodzie.

Chociaż pokłady soli przykryte są grubą warstwą nieprzepiękłej gliny, pewna jednakże ilość wody przedostaje się do nich z powierzchni przez szczeliny

w glinie i sączy się jako podziemne źródło i strumyki.

Wodę tę odprowadza się rynkami i kanałami do umyślnych zagłębień, noszących nazwę rzapiów, to jest studni, jeżeli są mniejsze albo też jezior, jeżeli zajmują większą przestrzeń. Nadmiar wody wypompowuje się z tych zbiorników na powierzchnię. Dawniej wyciągały ją stamtąd konie wiadrami, dziś podobnie jak i przy windzie, pracują tu pompy parowe.

Opanowanie takich sączących się strumyków i usuwanie nadmiaru wody jest rzeczą konieczną, czasami bowiem taki niepozorny strumyczek może się przeistoczyć nagle w potężnie rwącą rzekę, tak obfitą w wodę, że grozi zalaniem i zniszczeniem całej kopalni.

Taki wypadek zdarzył się w r. 1858, kiedy woda zalała już dwa piętra i ledwie zdołano ją opanować przy pomocy pomp parowych, ratując w ten sposób Wieliczkę od zagłady.

Nie mniej ważną rzeczą jest dbałość o utrzymanie świeżego powietrza w kopalni. W tak głębokich podziemiach, wskutek braku przewiewu powietrze łatwo i prędko mogłoby uleść zanieczyszczeniu, unie-

możliwie górnikom dłuższy pobyt w kopalni, narażają ich na śmierć.

Dla zapobieżenia temu, koniecznem jest urządzenie dobrej wentylacji. Osiągnięto ją dzięki znacznej liczbie szybów, z których jedne służą dla górników i wywożonej soli, inne wyłącznie dla przewiewu kopalni. Oprócz tego w korytarzach, bardziej oddalonych od głównych szybów, umieszczone są wentylatory w kształcie młynków, poruszanych ręcznie. Urządzają one sztuczny przewiew powietrza i odświeżają je tam, gdzie nie wystarcza działanie samych szybów. Ciągły ten przewiew nie pozwala zarazem temperaturze w korytarzach i komorach podnieść się zbyt wysoko. §

Dzięki tym urządzeniom w kopalni panuje zawsze mniej więcej stała, dość łagodna temperatura (11 do 12°R) i powietrze pozwalające górnikom pracować bez narażenia życia.

IV.

Wycieczka do żup wielkich.

Zwiedzanie Salin wielickich jest rzeczą nadzwyczaj ciekawą i ponczającą. Mnóstwo też osób zjawia się tu corocznie, żeby spuścić się w ich głębie i obejrzeć kopalnię. Najwspanialej wygląda ona przy rzesistem oświetleniu, kiedy ściany i słupy solne migocą tysiącem błysków, od których tem groźniej i mroczniej odbija czarna głęбина dalszych nieoświetlonych komór i korytarzy. Kopalnia robi wówczas wrażenie fantastycznego czarodziejskiego pałacu.

Takie oświetlenie jest rzeczą nadzwyczaj kosztowną i dla tego można je urządzić jedynie wtedy, jeżeli do udziału w wycieczce zgłosi się większa ilość

osób, kilkadziesiąt albo parę set. Kilka razy do roku, między innymi na drugi dzień Zielonych Świąt oraz w połowie sierpnia, sam zarząd salin urządza wspaniałe zjazdy do kopalni, na które zjeżdża mnóstwo osób.

W czasie takich wielkich zjazdów urządza się rzesistą iluminację: oświetla się lampionami wszystkie ciekawsze i większe komory, w niektórych zapala się ognie bengalskie, a gościom zwiedzającym kopalnię towarzyszy wszędzie muzyka górnicza. Podnosi to ogromnie wrażenie, jakie sprawia kopalnia, ale nawet i przy mniej rzesistem oświetleniu jest ona bardzo piękna i godna widzenia.

Przed spuszczeniem się do kopalni goście nakładają czapki górnicze i długie białe koszule dla ochrony ubrań od pyłu solnego i kropli wody, ściekającej w niektórych miejscach ze sklepień.

Dostać się do kopalni można w sposób dwojaki: windą parową albo też schodami.

Zjazd z pomocą windy parowej odbywa się szybem „Arcyksięcia Rudolfa“. Szyb ten został wybudowany już w pierwszej połowie XVII w. za panowania Zygmunta III i przezwany był „Daniłowiczem“ na cześć Jana Daniłowicza, podskarbiego wielkiego koronnego,

który położył wielkie zasługi dla kopalni wielickich, zwiędziwszy z niebezpieczeństwem życia wszystkie ich zakątki, podparłszy grożące zawaleniem się sklepienia i zasypawszy przepaście. W 1387 r. zmieniono nazwę tego Szybu na „Arcyksięcia Rudolfa“—na cześć ówczesnego następcy tronu austriackiego.

Schody znajdują się w innym szybie, zwanym szybem „Franciszka“. Został on odbudowany w r. 1812 i znajduje się tuż obok poprzedniego. Ma 260 schodów, po których przejściu idzie się po 109 stopniach pochyłym chodnikiem, ciekawym z tego względu, że na ścianach jego widać tu i owdzie wielkie pokłady soli. Po przebyciu tego chodnika pochyłego, podróżni znajdują się na poziomie pierwszego piętra w podszybiu „Arcyksięcia Rudolfa“ i schodzą się tu z tymi, którzy spuścili się windą parową.

Dawniej, gdy nie było windy, goście spuszcza li się na grubej linie, okręconej na walcu, który w ruch wprawiały konie, zaprzężone do kieratu. Do liny tej przytwierdzone były siedzenia sznurowe w rodzaju szlej, na które sadowili się podróżni, trzymając się za razem rękami liny dla tem większego bezpieczeństwa.

Na siedzeniach tych można było jednocześnie umieścić kilkanaście osób.

Pochód otwierało dwu lub trzech chłopaków z kagańcami, a obok nich siedział górnik z laską w ręku, którą utrzymywał pionowy kierunek liny, pilnując, aby podróżni nie uderzali się o boki szybu.

Jazda taka zazwyczaj odbywała się bez żadnych wypadków, sprawiała jednak nadzwyczaj silne wrażenie, gdy się tak spadało na linie w głąb przepaści, wydającej się bezdenną.

Zjeżdżanie na linie było niegdyś najzwyczajszym sposobem spuszczenia się do kopalni zarówno gości, jak i górników. Dziś nie używa się go już wcale, jedynie górnicy pokazują gościom czasami ten sposób, jako tak zwaną, jazdę piekielną. Postaci górników mknące w dół lub górę na sznurze z pochodniami w ręku, któremi oświetlają mroczną głąb szybu, zdają się istotnie znikać w jakichś czeluściach piekielnych!

Ale i dzisiaj spuszczenie się do kopalni w wygodnej i bezpiecznej klatce windy sprawia nadzwyczaj silne wrażenie.

Dla dania pojęcia o tem, przytaczamy tu opis

jednej z niedawnych wycieczek do słynnych żup wielkich.

„Szybowy dał znak maszynie, zamknęły się drzwi windy naszej, mieszczącej jak przepis każe, dziesięć osób i runęliśmy w dół, w bezdenną przepaść. Zjeżdżających pierwszy raz w życiu w podziemia kopalni ogarnia uczucie bardzo podobne do lęku: wydaje się, jakby oddanym się zostało nagle na pastwę jakiegoś żywiołu wrogiego, który czyha tam w głębi, wśród korytarzy i lochów, tonących w wiecznym mroku, zdala od dnia, od ludzi, od świata. Zapadamy się głębiej i głębiej i w każdą sekundę zdaje się rwać nici, łączące nas z tym, co zostało wysoko w górze nad naszymi głowami! Naraz—ład! ład podziemny! Winda zwolniła biegu, zgrzytnęła przeciągle i osadziła nas na miejscu.

Wysiadamy — i odtąd rozpoczyna się długa wędrówka piesza po labiryncie solnym, po krętych i stromych schodkach, nad tajemniczemi przepaściami, wśród olbrzymich ścian skalnych, wciąż niżej, aż ku ostatniemu piętru, dostępnemu dla turystów“.

Nie każde pióro oddać potrafi to niezwykle silne wrażenie, jakie wywiera taka wędrówka po mrocznych

głębiach salin wielickich. Mimowoli przychodzą na myśl słowa Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

„W kopalniach Wieliczki wszystko odmienne, a wszystko jednostajne. Natura wszędzie tak różnaita, tu zawsze taż sama. Światło słońca nigdy tu nie dochodzi, pory nigdy się nie zmieniają. Czy na ziemi dzień jasny, czy noc ponura; czy wiosna lubym tchem wionie, czy skwar słoneczny dopieka, czy dżdże jesienni wskroś przejmują, czy mróz ściał wszystko... tu zawsze głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców rozjaśnione; tu ciągle powietrze chłodne, czyste jednakowe. — Na ziemi tyle niezliczonych przedmiotów... tu jeden, wiecznie jeden: wszystko, co widzisz, czego się dotykasz, po czem stąpasz, jest sól.. bo ściany ogromne tych ulic długich, te filary wsporniałe, te schody niezliczone, te stosy bałwanów i beczek, te góry kruchów—wszystko z soli“.

Na zwiedzenie kopalni poświęci się zwykle najwyżej sześć godzin. Przez tak krótki przeciąg czasu nie można naturalnie obejrzeć dokładnie wszystkich szczegółów; wystarcza on jednak, aby się zapoznać z najważniejszymi rzeczami.

Wysiadłszy z windy, znajdujemy się na pierw-

szym poziomie czyli piętrze zwanym „Beno“, a zagłę-
bionym 66 metrów pod ziemią.

Zaraz na wstępie wita nas jeden z cudów wiel-
kich, okazała kaplica św. Antoniego, mająca $7\frac{1}{2}$ metra
długości, 6 szerokości i 5 wysokości. Została ona wy-
kuta z jednolitej bryły soli, w początku wieku XVIII
przez niewiadomego nazwiska artystę — górnika. Ale
nie tylko ściany, ale i wszystkie części i ozdoby tej
kaplicy — ołtarz, kolumny, posągi świętych i ambona—
wszystko to jest wykute z soli.

Wrażenie, jakie sprawia widok tej kaplicy, nie
da się z niczem porównać: w głębi mamy przed sobą
ołtarz z soli z Męką Pańską, ozdobiony kolumnami
solnymi i postaciami świętych Klemensa i Stanisława,
wykutymi również z jednego ciosu; z soli też są duże
figury zakonników, klęczące na stopniach ołtarza. Po
obu stronach od wejścia mieszczą się boczne ołtarze
z wizerunkami świętych Kazimierza i Franciszka, zaś
naprzeciw głównego ołtarza ambona bardzo kunszto-
wnie wykuta z soli i ozdobiona postaciami świętych
Piotra i Pawła.

W zagłębieniu jednej z bocznych ścian widać
statuę Augusta II, wyrzeźbioną w jasnej przezroczyściej

soli na pamiątkę bytności tego króla w kopalni wielkiej. Niegdyś statwę tę przewieziono, jako osobliwość do Warszawy, ale wkrótce odesłano ją z powrotem do Wieliczki, ponieważ wskutek pobytu na zmien-
nem powietrzu zaczęła topnieć i z czasem mogłaby była uleść zupełnemu zniszczeniu.

Piękną kaplicę Świętego Antoniego zarząd salin otworzył w r. 1900 na wystawie wszechświatowej w Paryżu, gdzie budziła powszechny zachwyt.

Ruszamy dalej długim sznurem, poprzedzeni przez „świecznych“, niosących latarnie. I oto po krótkiej wędrowce nowy fenomen: Przy dźwiękach dziarskiego mazura, granego przez towarzyszącą nam orkiestrę salinarną, schodzimy po stopniach do obszernej sali balowej, oświetlonej rzeźbiście sześciu wspaniałymi kryształowymi kandelabrami i mnóstwem lampionów.

Sala balowa w tych podziemiach! Któżby się mógł tego spodziewać?

Tak, najprawdziwsza, ale zarazem najoryginalniejsza sala balowa: o ścianach skalnych, wyłożonych w części drzewem, w części zaś murem sztucznym z soli, z ławkami, biegnącymi wzdłuż ścian dla wypoczynku par strudzonych, i wysoko uwieszoną galerią

dla muzyki. Niema w niej wprawdzie szklistej frote-rowanej posadzki, lecz zwykła podłoga z desek, ale ~~nie~~ to sala ta bywała widownią nie jednego balu, nie mniej ożywionego, niż bale na powierzchni, ale za to stokroć oryginalniejszego.

Nie odrazu tu zresztą znajdowała się sala balowa. Że w komorach, po wybranej soli, urządzone kaplice, to rzecz zupełnie rozumiała, ale komuby przyszło do głowy urządzać w podziemiach salę balową?

Komora ta powstała w połowie wieku XVIII po wypróżnieniu pokładów soli zielonej, za inspektora Łętowskiego z Łętów, i na jego cześć została przezwana „Łętowem“. Wówczas nie różniła się niczem od innych komór. Na salę balową przerobiono ją dopiero w r. 1809, w czasie chwilowej okupacji Wieliczki przez Rosyan, na życzenie rosyjskiego generała Suworowa. I odtąd pozostała salą balową, zachowując zresztą dawną nazwę.

Przewijamy się przez całą długość sali, aby od drugiego jej końca zapuścić się dalej, i oto wkrótce w łunie ognia sztucznego otwiera się przed nami wewnątrz drugiej kaplicy, nieporównanie obszerniejszej od tamtej, a urządzonej ostatnimi już czasy (w r. 1897)

w jednej z pustych komór ku czci świętej Kingi, patronki górników wielickich.

Olbrzymia tu kaplica ma 50 metrów długości, przeszło 14 szerokości i 10 wysokości. Charakterystyczną jej cechą stanowi amfiteatralna budowa: Żeby się dostać do właściwej kaplicy, musimy spuścić się po 46 ciosowych stopniach solnych, mijając po drodze niższą platformę przeznaczoną dla muzyki.

Po prawej stronie kaplicy na ścianie znajduje się piękna kropielnica z soli, a nad nią płaskorzeźba, przedstawiająca Chrystusa pod krzyżem, cenny zabytek rzeźby z wieków minionych. Dalej widać ambonę z ciosu solnego, a w jej dolnej części pięknie odrobiona z bloków kamiennych podobizna baszt zamku wawelskiego, roboty górnika Józefa Markowskiego.

W głębi obramowany ciosami kamiennymi znajduje się wielki ołtarz z wizerunkiem świętej Kungundy, a nad nim u góry symbol górniczy — dwa młotki złożone na krzyż i korona cesarska. Komorę oświetlają 3 wielkie kryształowe kandelabry i 4 mniejsze świeczniki. Tu odbywa się nabożeństwo kilka razy do roku — w wielkie uroczystości i w dni pamiątkowe.

Niewysłowny majestat bije od tego ołtarza, ukrytego pod powierzchnią ziemi, od tych załomów, których wiekuisty mrok został na chwilę przerwany.

Ale już łuna gaśnie, pod stropem kaplicy mrok gęstnieje na nowo—tłum turystów, poprzedzany latarniami, oddala się na kilkanaście minut dalszego pochodu krętymi drogami i wnet od szybu Rudolfa schodzić zaczynamy na drugie piętro kopalni.

Spuściwszy się po 160 stopniach na drugi poziom „Cesarza Franciszka“, na głębokość 110 metrów, znajdujemy się w jednej z najpiękniejszych komór, noszącej nazwę „Michałowickiej“ od rotmistrza wojsk polskich Michała Dana z Michałowic.

Nie tak długo, jak kaplica świętej Kingi, jest zato „Michałowicka“ bez porównania wyższa, ma bowiem 36 metrów wysokości czyli przewyższa nieco słynną, zasypaną już obecnie komorę Steinhausera. Długość jej wynosi 28, szerokość zaś 18 metrów, wogóle za tem jest ona przeszło dwa razy obszerniejsza od komory świętej Kingi. Żeby atoli ocenić należyte jej wielkość, potrzeba patrzeć nie wzdłuż, jak w tamtej kaplicy, lecz w górę, taki jest bowiem kierunek największego jej wymiaru.

Komora ta w tej postaci, jak dzisiaj istnieje od r. 1761, przedtem jednak wybierano z niej sól przez lat 44 (1417 — 1761), zanim opróżniono ją zupełnie.

Największą osobliwość tej komory stanowi olbrzymie rusztowanie ze słupek i belek, prawdziwe arcydzieło sztuki ciesielskiej, podpierające jej strop mniej więcej na wysokości dachu kościoła. Maryackiego. Ze strony pośrodku tego rusztowania zwiesza się również olbrzymi świecznik z soli kryształowej o 200 świecach.

W tej chwili zionie ogniem cały ten świecznik. światło bengalskie rzuca oślepiający blask na bezmier-
ną czelność komory, a z ukrytych gdzieś wysoko instrumentów orkiestry salinowej płynie do głębi przejmująca melodia narodowej pieśni polskiej.

Z niemym podziwem ogarnia oko ten osobliwy widok, poczem ruszamy w dalszą drogę najpierw chodnikiem równym — prostym, jak strzała, potem przez most, rzucony nad jakąś przepaścią, a potem schodami w dół do obszernej, również pustej komory Drozdowickiej. Znowu płoną jaskrawe ognie, oświetlając głąb zmarłej kopalni.



Widok kopalni w Wieliczce w dawniejszych latach.

W jednym miejscu czytamy na ścianie napis wryty ku pamięci 500 letniego jubileuszu Wszechnicy Krakowskiej.

I znów krążymy dalej w prawo i w lewo, jakimiś chodnikami, których kierunek wikła się i gubi; jakimiś drogami błędnymi, kutymi w skałę; mostami, zawieszanymi w powietrzu; schodami, które pną się w górę i zbiegają w dół bez końca!

I oto nowa grotta zaczarowana jakaś grotta z baśni! Nie imponuje wprawdzie wielkości mrocznych czeluści, jak zwiedzane przed chwilą olbrzymie komory, ale za to zda się być pełną życia i ognia, takimi blaskami, taką rozmaitością i grą barw drgają jej ściany, utworzone z najpiękniejszej kryształowej soli i oświetlone w tej chwili na nasze powitanie.

Tu dopiero można puścić wodze rozbujalej fantazyi i wyobrazić sobie, że znajdujemy się naprawdę w pałacu władcy podziemnego państwa, że ściany tej groty zrobione są z dyamentów i innych drogich kamieni, i że lada chwila ukążą się tu jakieś wrogie moce i zapytają nas, jakim prawem wdarliśmy się w tę zaczarowaną krainę skarbów podziemnych.

Ta jedyna w swoim rodzaju komora wykuta zo-

stała w pokładzie najosobliwszej i najpiękniejszej odmiany soli, zwanej lodowatą, a została przezwana grota kryształową dla cudownego blasku i gry swoich ścian. Sól, wydobywana z innej, służy do wyrobu różnych pamiątkowych przedmiotów, które tak chętnie nabywają wszyscy, zwiedzający Wieliczkę.

Grota kryształowa znajduje się na drugim poziomie w odległości dwu kilometrów od szybu „Arcyksięcia Rudolfa“, którym spuściliśmy się do kopalni.

Z żalem opuszczamy tę cudowną grota i idziemy dalej w dół schodami, łamiącemi się w zygzaki, wśród nieznanych, tajemniczych, a głównych obszarów, i oto za chwilę jesteśmy na trzecim poziomie kopalni, zwanym poziomem „Arcyksięcia Albrechta“, a zagłębionym na 135 metrów pod ziemią.

I tam znów krążymy długo podziemnymi drogami, bo zaledwie po upływie pół godziny zamajaczyło się przed nami w dali jakieś słabe światelko, które rosło powoli, aż wreszcie oblało nas pełnym blaskiem i ujrzelśmy ze zdumieniem budynek, przytulony do ściany skalnej, typowy dworzec kolei, a przed jego frontem w dwie strony mknący tor kolejowy.

To „dworzec hr. Gołuchowskiego“, mieszczący się

w olbrzymiej komorze, zwanej dawniej „Walczyńnem“. Komora ta ma 50 metrów długości, 22 szerokości i 16 wysokości, powstała zaś wskutek wybrania soli w r. 1652 i otrzymała nazwę od ówczesnego dzierżawcy, Macieja z Walczyna Walczyńskiego. W ubiegłym stuleciu (w r. 1864) upiękuszono ją, zbudowano w niej centralny dworzec dla podziemnej kolejki konnej, liczącej obecnie 45 kilometrów długości i zmieniono jej nazwę na cześć Agenora hr. Gołuchowskiego, wielce zasłużonego namiestnika Galicyi. Tu możemy odpocząć i posilić się w obszernej restauracyi, mogącej pomieścić koło 400 osób.

Stąd szło się dawniej do zasypanej już dziś komory „Steinhausera“, gdzie goście oglądali zwykle „piekielną jazdę“ górników. Dziś komora ta już nie istnieje, jak znikną wkrótce po niej i niektóre inne, chłonąc w siebie glinę i piasek ze wzgórz okolicznych.

Dość jednak wypoczynku. Znów ruszamy na przód i po krótkiej chwili oczom naszym okazuje się nowy cud: ciemna, szklista szyba podziemnego jeziora. To słony staw „Przykos“, którego spokojna, gładka tafla odbija tysiączne błyski ogni, rozświetlających ciemną głąb komory.

Po prawej stronie widzimy wykutą z soli statwę Jana Nepomucena, ozdobioną gałęzmi jedliny. Z góry rozbrzmiewa zrazu cicho, potem coraz głośniejsza melodia hymnu: „Boże coś Polskę“.

Na wodzie kołysze się prom, umocowany na linie, a przewoźnicy uprzejmie zapraszają nas, abyśmy wsiedli. Wstępujemy więc na ten podziemny statek, podobni w swych białych koszulach do jakichś duchów, przepływających się na tamten świat.

Przewoźnicy odbijają i prom sunie wolno po zwierciadlanej szybie jeziora, przesuwa się przez wązki i krótki tunel i wpływa na drugie jeziorko, nad którym znów płoną ognie.

Przybijamy do brzegu i idziemy dalej, aż tu nagle dochodzi naszych uszu potężny szum przewalającej się masy wody, gdzieś w niezbyt wielkiej odległości. Czyżby to znów miał być nagły wylew jak ten, który w r. 1868 groził zatopieniem całej kopalni? Niemiała to rzecz znaleźć się w takiej chwili o półtora prawie metrów pod ziemią, z myślą, że może w parę minut po tym chodniku, po którym stąpamy, zacznie przewalać się olbrzymia masa wody, zaleje nas i uniesie ze sobą.

Ale przewodnicy nas uspokajają: to na wylew, lecz po prostu podziemna rzeka huczy tam gdzieś za ścianą kamienną; obawiać się jej nie potrzebujemy wcale.

Zwiedzanie skończone. Wsiadamy do windy i za chwilę jesteśmy znów na powierzchni, ale długi czas nie możemy przyjść do siebie, oszołomieni wspaniałością i grozą widoków, oglądanych w kopalni.

„A przecież widzieliśmy zaledwie część tych gmachów podziemnych, które sięgają włąb jeszcze na cztery piętra aż na 400 przeszło metrów pod powierzchnią ziemi. Tam, najniżej, schodzi już tylko górnik wielicki. I o rozległości kopalni nie mogliśmy nabrać dostatecznego wyobrażenia w tej pełnej czarów podroży. Wszak osiem szybów prowadzi do tego kolosalnego warsztatu pracy, który się od wschodu ku zachodowi na 4000, a od północy na południe na 1000 rozciąga metrów, gdzie samych tych większych komór znajduje się w górę 80, a 16 stawów zagradza drogę pracującemu robotnikowi, gdzie tysiące ludzi wreszcie, owych „żeleźniaków“, „kruszaków“, „strzelców“ i „piecowych“, rozproszonych w odwiecznych szybach, dobywa sól polską od niepamiętnych czasów. Przeszły zamierzchłe widoki Piastowskie i świetna era Jagiel-

lonów, i szwedzkie najazdy, i burza napoleońska, wiążąc się nierozdzielnie z historią kopalni wielickich, i dwugłowy orzeł Habsburgów zawisał nad perłą polskiego górnictwa, a stare szyby królewskie Lois, Boża Wola, Regis, Daniłowicz, Górsko i tyle innych wyrzucają z łona swego skarby ziemi naszej i praca w nich wre, jak przed wiekami.“

V.

Rozwój salin za czasów polskich.

Zapoznawszy się z obecnym stanem i wyglądem kopalni wielickich, zwróćmy oczy w przeszłość i przyjrzyjmy się, jak te kopalnie wyglądały niegdyś i jakie koleje przechodziły.

Żupy zarówno wielickie, jak i bocheńskie znane są od kilkuset lat, prawdopodobnie jeszcze od czasów pogańskich, chociaż podanie ludowe odnosi ich odkrycie do czasów świętej Kingi, żony Bolesława Wstydlivego.

Podanie to zapisali niektórzy kronikarze i historycy, między innymi Długosz i Kromer, a Adam Schrö-

ter; autor łacińskiego wiersza pod tyt.: „Salinarum Wielicensium descriptio“ („Opis Salin Wielickich“), z r. 1534, opisał je wierszem, tłumacząc, że słyszał tę opowieść z ust Wojciecha Kościeli, poborcy ceł w Wielicze.

Treść opowieści Schrötera jest następująca: „Bolesław Wstydlivy zaręczył sobie przez posłów Kunegundę w Węgrzech; ta oblubienica, nie chcąc od ojca brać żadnego posagu w złocie i srebrze, prosiła go tylko na wyjeździe, aby jej to darował, coby równie bogaczom i ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec: a Kunegunda, pojechawszy do żup węgierskich, ślubną tam obrączkę wrzuciła. Stanąwszy potem w Krakowie, kazała się wieźć po niejakim czasie do Wieliczki: a gdy za jej wolą ziemię tam kopać zaczęto, znaleziono sól, i w pierwszej jej sztuce królewską obrączkę“.

Powtarzając zresztą to podatne, sam Schröter nie przywiązuje do niego większej wagi i uważa je za baśń, mówi bowiem nieco dalej:

„Ogólnem jest to twierdzeniem górnika łatwowie- nego.

Jednak temu podaniu zaufania brakuje“.

Ale lud, znając świątobliwość dobroczynnej kró-

lowej, którą uważa za patronkę kopalni, święcie wierzył, iż za jej to przyczynieniem się żupa solna węgierska, którą jej ojciec podarował i do której wrzuciła pierścień, przeniosła się cudownym sposobem pod Kraków, obdarzając Polskę cennym skarbem, którego jej dotychczas brakowało. Opowiadają przytem, że święta Kinga zjadła w Bochni śniadanie a w Wieliczce obiad i dla tego w Bochni jest mniej soli.

Podanie to o wędrówce soli z Węgier do Polski Adam Garczyński zebrał w formę wierszowaną:

Węgierski król

Srebra i soli jest panem;

Chciał córę z srebrnem wyprawić wianem,

Kinga prosiła o sól.

Król solną górę dał swojej córce,

Matce walecznych Polaków,

A Bóg rozkazał tej solnej górze,

By się przeniosła pod Kraków.

Piękne to podanie, wybornie malujące charakter świętej Kingi, dbałej nadzwyczaj o dobro i potrzeby swych poddanych, nie jest jednak zgodne z rzeczywi-

stością, chociaż można się w niem doszukać pewnej części prawdy, jak i w tylu innych podaniach.

Rozmaite wzmianki w dziełach Długosza, Krome-ra i różnych innych naszych dziejopisów, jak również różne stare dokumenty wskazują najwyraźniej, że jeszcze przed Bolesławem Wstydlwym i wiekiem XII istniały w Polsce dwie żupy solne, z których jedna, większa nazywana była po łacinie „Magnum sal“ (Wielka Sól) dla odróżnienia od drugiej, mniejszej. Nazwa ta, według wszelkiego prawdopodobieństwa, stosuje się właśnie do Wieliczki.

Kazimierz I, fundując w r. 1044 klasztor Benedyktynów w Tyńcu, nadaje im pewną ilość soli w Wielicze. Kazimierz II w r. 1176 przyznał również pewną ilość soli z tych żup klasztorowi w Sulejowie. O kopalniach w Bochni znajdujemy wzmiankę przed rokiem 1198. Początek więc wybierania soli z obu tych żup sięga niewątpliwie czasów znacznie dawniejszych, bo wieku XII, XI, a może jeszcze wcześniejszych.

Wojny jednak i zarazy morowe, tak pospolite w owych czasach, mogły być zniszczyć zarówno dawne osady ludzkie w tych miejscach, jak i zaczątki

kopalni, tak, że zostały one zupełnie zaniedbane i opuszczone.

Prawdopodobnie dopiero Bolesław Wstydlivy odnowił je, rozszerzył i ulepszył, przy pomocy wytrawnych górników, sprowadzonych z Węgier, gdzie wtedy żupy solne były w pełnym rozkwicie. Do tej właśnie jego czynności odnosić się może podanie o świętej Kindze, która zapewne nie mało się przyczyniła do wskrzeszenia kopalni i z której pamięcią wdzięczny lud złączył je na wieki.

Dokładne wiadomości o urządzeniu żup solnych posiadamy dopiero z czasów Kazimierza Wielkiego, który zaprowadził porządek w kopalniach i wydał pierwsze prawa górnicze (r. 1368), jedno z dawniejszych w Europie. Mądry ten monarcha, dbały o rozwój krajów, nie zaniedbał zająć się i tą gałęzią jego bogactw.

Karol Szajnocha tak pisze o prawach Kazimierza dla żup wielickich, i siostry jego Elżbiety, matki Jadwigi, dla olkuskich (kopalnie srebra): „górnice te prawa polskie uczone zostały za granicą przed czeskiemi i angielskiemi i służyły za wzór francuskim.

Polacy otrzymywali w kopalniach pierwsze miejsce pomiędzy „gośćmi górniczymi“.

Kazimierz Wielki oba miasta kopalniane, Bochnię i Wieliczkę—opasał murem i podniósł do godności tych 6 miast, z których król wyznaczał po 2 rajców do wydawania ostatecznego wyroku w sprawach, sądzonych według obowiązującego wówczas prawa magdeburckiego. Do miast takich zaliczały się, oprócz tych dwu jeszcze i Kraków, Sącz, Olkusz i Kazimierz.

Mieszczanom zaś wielickim Kazimierz Wielki nadał prawo na handel solą: mogli oni mianowicie zakupioną sól rozwozić na sprzedaż po kraju, a nawet za granicę. Wywożono też ją na Węgry, na Ruś i do Niemiec. Mieszczanie wieliccy dla ułatwienia handlu mieli swoje składy w Krakowie i Oświęcimiu.

Nie na wieleby się jednak przydały wszelkie przywileje o handlu solą, gdyby król Kazimierz nie był się zajął zaprowadzeniem porządku w samych kopalniach. Nie zapomniał on jednak i o tej sprawie.

Do kierownictwa żupami i do ich uporządkowania nazначył Kazimierz niejakiego Poryna, którego jedni uważają za Francuza z powodu, iż przy nazwisku jego w statucie Kazimierza figuruje dodatek „Gallicus“, co

po łacinie oznacza „francuski“, inni zaś za mieszczanina krakowskiego, „Gallicus“ bowiem, jako nazwisko, spotyka się nieraz w w. XIV wśród mieszczan krakowskich.

Poryn zaprowadził rejestry pisane w kopalni — są to najdawniejsze dokumenty z salin wielickich,— podzielił kopalnię na części, robotników na kategorie, pookreślał ich obowiązki i prawa, sposób wydobywania soli i jej sprzedawania i t. d. Wprowadzał wreszcie różne ulepszenia.

Po nim kierownictwo żup objął słynny Mikołaj Wierzynek, bogaty mieszczanin krakowski, ten sam, który tak suto podejmował w Krakowie gości cudzoziemskich, przybyłych w odwiedzinę do Kazimierza Wielkiego. Otrzymał on od króla tytuł żupnika, który odtąd przysługiwał wszystkim następnym zarządcom kopalni. Wierzynek ulepszał saliny w dalszym ciągu, otwierał nowe i porządkował dawne szyby.

Z ówczesnych rejestrów kopalnianych widać, iż za Kazimierza Wielkiego saliny wielickie miały tylko jeden poziom i 5 szybów. Sól wydobywano i sprzedawano wielkimi ławami, czyli bałwanami, jak też centnarami, miarkami i beczkami. Wyciągano także

w workach skórzanych wodę słoną w kopalni i warzono z niej sól.

Robotnicy dzielili się na kopaczów i krzeszaków, wydobywających sól; walaczów, toczących balwana; kieratowych, wozaków czyli woźniców, rotnych, wodnych i t. d. Oprócz pracujących tu dobrowolnie, istnieli jeszcze wówczas i niewolnicy kopalniani.

Kopalnie były własnością dóbr królewskich i zysk, osiągnięty z nich, stanowił tak zwany dochód stołowy królów polskich, wolno było jednak także i osobom prywatnym za zgodą króla wydobywać sól z żup własnym kosztem i własnymi ludźmi. Osoby, które otrzymały takie prawo, nosiły nazwę stolników. Za Kazimierza Wielkiego było takich stolników 60, później ilość ich podwoiła się.

Kazimierz Wielki dbał nie tylko o rozwój salin, ale także i o dobro zatrudnionych w nich robotników. Określił on ich prawa i obowiązki, kazał zbudować dla nich kaplicę i szpital, uposażywszy go w dwu niewolników górniczych wraz z ich potomstwem.

Następni monarchowie troszczyli się również o pomyślność kopalni, wprowadzając do nich różne ulepszenia, oraz nadając przywileje mieszkańcom miast

kopalnianych. Rozwijały się też saliny coraz bardziej, wzbogacając zarówno monarchów, jak i mieszkańców kraju.

Kopalniami zarządzali żupnicy, których ogółem było 62, licząc od Poryna (1334 r.) do Kluczewskiego, ostatniego żupnika przy zagarnięciu w r. 1772 przez Austryaków Wieliczki wraz z całą Galicyą.

Wymienimy tu niektóre ważniejsze urządzenia i ulepszenia, zaprowadzane różnymi czasy w kopalni za rządów polskich.

Za Władysława Jagiełły rządziło żupami między innymi dwu głośnych żupników: Mikołaj Bonar i Piotr Picaronius, którzy ulepszyli sposób wydobywania, a następnie wyciągania soli na powierzchnię ziemi za pomocą machin. Oprócz tego Picaronius zaczął zostawiać słupy solne dla podpory sklepień i zabezpieczenia ich od zawalenia się. W końcu tegoż XV w. zaczęto wypełniać skrzyniami z ziemią puste komory, grożące runięciem.

Zabezpieczeniem kopalni od zawalenia się zajmowali się nie tylko żupnicy i królowie, ale i sejmy; sejm z r. 1588 polecił spisać wszystkie filary solne i zabronił surowo zmniejszać je, a tem bardziej znisz-

czyć. Umyslni lustratorzy zjeżdżali często do żup, sprawdzali, czy filary są w porządku i czuwali nad ich naprawą, jeśli zauważyli jakie uszkodzenia.

Kary za uszkodzenie słupów naznaczono bardzo surowe: górników, schwytanych na tem przestępstwie, karano ucięciem ręki. Barbarzyńskie to było prawo, zgodne jednak z duchem i surowymi zwyczajami dawnych czasów. Trzeba atoli dodać, że w praktyce nie było ono prawie zupełnie stosowane. Z historii wiadomo jedynie o wykonaniu tego wyroku na ówcu górnikach.

Ale dbając tak usilnie o zabezpieczenie kopalni od szkód, nie zaniedbywano zarazem starań o jej powiększanie i rozszerzanie. W jednej z historii w. XVII znajdujemy następujący ustęp:

„Jako wedle starego obyczaju dobry gospodarz chleba za chleb nabywa, tak w żupach przy gotowej soli, zawdy nowej szukają piecni (chodnikami) na wsze strony, gdzie by się nadzieja jaka pokazała; tak i my naznaczamy do tego urzędy, aby takowe piece wymierzili“.

Początkowe roboty podziemne rozciągały się w Wieliczce na wschód ku Bochni, ale gdy zauważono,

że w tym kierunku sól zaczyna niknąć, zwrócono się na południe i w tym kierunku okazały się nieprzebrane jej źródła.

Sposoby wydobywania ulepszano ciągle, wprowadzając rozmaite udoskonalenia i ułatwienia, mające na celu zrobić pracę lżejszą albo bezpieczniejszą.

Żupnik Picaronius za Jagielly wprowadził ulepszone maszyny do wyciągania soli. Kazanowski w XVII w. zaczął używać koni do robót podziemnych, której dawniej musieli spełniać ludzie.

W tymże wieku obostrzono dozór nad schodzeniem górników do kopalni. Pospolitym sposobem spuszczenia się do nich była wówczas lina: wind dzisiejszych nie znano wtedy jeszcze wcale, a schodów nie było również, tylko niewygodne drabiny, dla tych, co nie chcieli lub nie mogli czekać na linę. Niektórzy robotnicy obok tego wprowadzili w zwyczaj staczanie się w głąb po bokach jednego z szybów, zwanego „Serafem“. Była to rzecz nadzwyczaj niebezpieczna, to też zakazano jej wkrótce surowo.

W celu ułatwienia dostępu do kopalni, król Jan III kazał zbudować schody kamienne: Składały się one z 485 stopni, ale nie przetrwały zbyt długo;

od sączącej się po nich wody znaczna ich część poświęcała się i pozapadała już w r. 1698, a w r. 1816 zawały się one ostatecznie, tak, że trzeba było zbudować nowe, które ukończono za Augusta III. Było ich 480 i jeszcze 7 framug w murze, żeby schodzący robotnicy mieli gdzie wypocząć.

Nieustannie rozszerzanie się kopalni, utrudniało coraz bardziej oryentowanie się w niej nawet doświadczonym górnikom i nie pozwalało prowadzić planowej gospodarki. Coraz pilniejszą stawała się sprawa dokładnego planu salin.

Zaradził temu brakowi za panowania Władysława IV Marcin German, rodem Szwed, geometra w żupach wielickich, sporządziwszy w r. 1645 dokładny ich plan, który nazwał „*Filium Ariadrae in Labyrintho*“ („Nić Aryadny w labiryncie“). Była to istotnie prawdziwa nić Aryadny do oryentowania się w tym labiryncie podziemnych korytarzy i chodników.

Plan Germana, wykonany bardzo starannie, składa się z 4 map, przedstawiających plan miasta Wieliczki oraz 3 piętr żup, tyle ich bowiem posiadały wówczas saliny. Pod mapami znajdują się ryciny robot na zewnątrz i wewnątrz kopalni.

Plan ten, z polecenia króla Władysława IV, został wryty i odbity w Gdańsku. Sam zaś oryginał przechowuje się dotychczas w Muzeum salinarnem. Nabył go zarząd żup od spadkobierców Germana w roku 1674 za 20 berzek soli, jak to widać z ksiąg rachunkowych XVII w.

W Muzeum znajduje się również i następny plan żup z wieku XVIII, zrobiony w latach 1743 — 1750 z polecenia Augusta III przez sławnego miernika Gottfryda Borłacha, Sas rodem, który był później administratorem żup i, korzystając z gotowych już planów, zaprowadził systematyczną odbudowę salin, wypracował przepisy służbowe dla robotników i poprowadzał rozmaite ulepszenia.

Plany jego, wykonane nadzwyczaj starannie i drobiazgowo, składają się również z 4 map oraz karty tytułowej, przedstawiającej pracę w kopalni na trzech poziomach. Ta karta tytułowa wzbudza słuszny podziw zarówno znakomitym doбором najcharakterystyczniejszych scen z życia kopalnianego, jak i zdumiewającym artyzmem techniki rysunkowej.

Godzi się wreszcie wspomnieć rozmaite zarządzenia, mające na celu pieczę nad zdrowiem górników.



Komora Michałowice.

Już Kazimierz Wielki ufundował dla nich szpital. W następstwie powstała łaźnia i kuchnia dla chorych lub ubogich pracowników salin. W XVII w. ustanowiono stałego „cerulika“, który za opłatę braną z żup, miał obowiązek „szczerze, pilnie, wiernie i życzliwie chorych górników opatrywać, dobreimi maściami goić starać się, aby żaden przez niedbalstwo umorzony nie był“. Przysięgał on, że od żadnego „zapłaty wyciągać nie będzie po nad to, co z żupy względem tego bierze“.

Pierwszym takim „cerulikiem“, czyli jakby się to dziś mówiło, lekarzem salinarnym, był Józef Wolf. Ciekawą zaś rzeczą jest, że w końcu w. XVII cerulikiem takim była „kobieta, potrzebną zdolność posiadająca, Magdalena Bendzislawska, wdowa“. Już zatem w XVII w. posiadaliśmy kobiety na stanowisku lekarzy kopalnianych, czego dziś nigdzie jeszcze niema!

Były dalej wyznaczone osobne fundusze na wikt i suknie dla wysłużonych górników oraz chorych, okaleczonych lub starych i niedołężnych, a więc niezdatnych do pracy.

Pamiętano również i o potrzebach duszy; kopalnia posiadała swego kapelana, który odprawiał co

dziennie mszę świętą dla górników w kaplicy świętego Antoniego.

Saliny rozwijały się pomyślnie i przynosiły ogromne dochody: starczyło soli na potrzeby kraju, starczyło i na wywóz zagranicę.

Zyski z żup stanowiły od czasów najdawniejszych część dochodów królów polskich, a uchodziły za tak pewne źródło, że na nich oparte były różne legata i pensye: królowym płacono ślubne podarki z żup solnych oraz pewne stałe kwoty roczne, które za Zygmunta III i jego następców wynosiły 2000 złotych czerwonych. Na salinach oparte były pensye królewskich urzędników nadwornych, dworzan, a nawet karłów; ci ostatni mianowicie pobierali po 9 bałwanów soli rocznie.

Nie sam więc król tylko korzystał z tych dochodów. W dodatku zaś szlachta sama domagała się taniej sprzedaży soli dla siebie i wywojowała wreszcie przywilej, że król sprzedawać jej będzie sól poniżej kosztów wydobycia. Tak np. w r. 1674 szlachta płaciła tylko 4 złote polskie za beczkę soli szybikowej, którą w żudach sprzedawano po 12 złotych.

Dbając jednak o siebie, szlachta nie pomyślała

wcale o chłopach i mieszczanach, którzy musieli zaopatrywać się w sól za własne pieniądze bez żadnych ulg.

Do wydawania taniej soli szlachcie znajdowały się specjalne składy po województwach, które były otwarte co rok przez trzy miesiące po „suchych“ dniach kościelnych i dla tego sól tę zwano „sucheniową“.

Szlachta w tych składach zaopatrywała się w sól na cały rok, a ten zwyczaj przywożenia sobie za nadzwyczaj tanie pieniądze soli ze składów pozostawił ślad w dawnej piosence:

Wółki do roli, do roli,
A koniczki do Wieliczek,
Przywiozą nam soli.

Była więc sól wielkim skarbem narodowym i źródłem bogactwa. Pomimo rozmaitych ciężarów na salinach, dzierżawa kopalni a nawet administracja jej była rzeczą wielce ryzykowną, o którą ubiegali się różni dostojnicy i wielcy panowie, zapewniając królowi większe dochody z żup, byleby otrzymać je w zarząd lub dzierżawę. Żupy wielickie stały się źródłem wzro-

stu fortun Lubomirskich, Wielopolskich i wielu innych rodów magnackich.

Dla tego to dzielny Stefan Czarniecki, chcąc wyrazić, że wszystko zawdzięcza osobistej zasłudze, mawiał o sobie: „ja nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli,—uroszem“.

VI.

Kłeski, które nawiedzały kopalnię i różne podania górników.

Dzieje kopalni wielickiej nie są jednakże pasmem samych jasnych dni, ulepszeń, udoskonaień i ciągłego rozwoju. Historya podaje nam wspomnienia niejednej kłeski lub katastrofy, które wstrząsały całą kopalnią i pozbawiały życia cichych jej pracowników.

Zapadały się w niej szyby, wybuchały pożary, wody podziemne groziły zalewem, przechodziła nad nią pożoga wojny i wróg zajmował ją w posiadanie, a co gorsza, własny rodak, jako dzierżawca lub zarządca salin, gnębił i uciskał górników, niszczył kopalnię, dba-

jąc jedynie o jaknajszybsze wzbogacenie siebie samego, wywoływał bunty i rozruchy.

Wieliczka jednak przetrwała to wszystko, nie upadła, lecz przeciwnie rozrosła się i powiększyła.

Wspomnimy tu w krótkości najważniejsze klęski, jakie nawiedzały żupy wielickie, rozpoczynając od zapadnięć się szybów i komór.

Zdarzały się one w kopalni nieraz, zwłaszcza dawniej, kiedy nie myślano jeszcze o należytem zabezpieczeniu pustek. A dawały się zaś odczuwać nie tylko w głębi salin, ale i w samym mieście, wywołując walenie się domów.

Oto parę głośniejszych takich zapadnięć z ostatnich wieków.

W r. 1689 zapadły się dwa domy w ziemię koło szybu, zwanego „Górsko“. Przyczyną było zawalenie się podziemnych komór w sąsiedztwie tego szybu. Wypadek ten zresztą był tak szczęśliwy, że nikt przy nim nie utracił życia.

W kilkanaście lat później zapadło się znów w ziemię kilka domów, ale tak powoli, że można było z nich wszystko wynieść.

Najoryginalniejsze w skutkach było zawalenie się komory „Krećzyny“, które wywołało wielki popłoch w mieście z powodu utworzenia się dużego zawałiska na powierzchni. Skończyło się jednak tylko na strachu, a jedyną osobą poszkodowaną była przekupka wielicka, nazwiskiem Spadkowska, która śpiesząc poranną godziną do Krakowa z koszem owoców na targ, wpadła w powstałą szczelinę i o mały włos, że nie stradała w niej życia.

Zapadanie się domów nad kopalnią zdarzały się nawet jaszce i w wieku XIX. Siały one popłoch wśród mieszkańców i narażały ich na straty, nie przybierały jednak nigdy większych rozmiarów, i pod względem grozy nie mogą się nawet równać ze skutkami zapadnięć komór w głębi samej kopalni, zwłaszcza gdy zdarzały się one w czasie pracy górników w salinach.

Niejeden nieszczęśliwy, zasypany ziemią w jakimś dalszym chodniku, ginął powolną śmiercią, zanim towarzysze zdążyli do niego się dokopać. A nawet ocaleni wychodzili na świat Boży, postarzali lub osiwiali wskutek przebytych wrażeń. Samo wyratowanie się

zresztą w większości takich wypadków uważane było za cud prawdziwy.

Od starych górników można się nasłuchać dowoli dawnych podań o zasypanych kruszakach, cudem ocalonych od śmierci.

Oto jedna z takich górnickich legend, wybor- nie ilustrująca wierzenia tych podziemnych pracow- ników:

„Zdarzyło się razu pewnego, że zawalił się szyb, w którym pracowało kilkunastu górników: wszyscy oni zdążyli usunąć się w porę, z wyjątkiem jednego, który był bardzo bogobojnym człowiekiem. Ale i takich Bóg doświadcza.

Górnik ten został pod ziemią. Uderzenie wiel- kiej bryły soli pozbawiło go w pierwszej chwili przy- tomności, lecz niebawem przyszedł do siebie i przeko- nał się, że szwanku żadnego nie poniósł. To go jednak nie ucieszyło, po cóż mu po życiu, jeżeli o wydobyciu się na świat ani myśleć nie może. Gdyby jeszcze miał światło, ale i lampkę wśród zawalonego szybu postradał. Zapłakał rzewnymi łzami, a wyzaliwszy się, ukląkł, ręce złożył i do Pana Jezusa modlić się począł żarliwie.

Naraz w głębi szybu spostrzega drgające światło... jedno, drugie, dziesiąte, setne. Zbliżyły się one do niego powoli, w ordynku. Górnik wstał, zdjął czapkę, bo dziwny widok uderzył jego oczy. Był to orszak tłumny, jakby posągów z soli kutych, w czarnych strojach górniczych, bogato osypanych różnobarwnymi kryształami. Pośrodku szedł snąć król, bo był ukoronowany mitrą złotą, zdobną w kwiaty solne, osłonięty płaszczem przezroczystym, a przed nim niesiono przymocowaną do szczepu z kości słoniowej chorągiew płomienną, z cyfrą złotą „1000“. Każdy z orszaku niósł złoty kaganek, na takim samym łańcuchu, a król podpierał się złotym toporem i nim, tuż obok górnika, w ścianę solną uderzył.

Wszyscy zaczęli wstępować do otworu, ostatnia zaś postać zbliżyła się do górnika, podała mu jego własną lampkę, pełną oliwy i zapaloną, następnie palcem nakazała mu milczenie i z innemi zniknęła w otworze, który się natychmiast bez śladu zawarł.

Miał tedy górnik światło, przy którym odnalazł swój kilof. Nadzieja ocalenia zablęśla, z zapalem zaczął odważać rumowiska, które go od świata oddzielały. Pracował długo, pot mu czoło zlewał, w pier-

siach tchu brakowało. Wreszcie wyczerpany, zgłodniały upadł na ziemię.

— Śmierć mi tu, widzę, sądzona—jęknął. — Nie podołam...

Po chwili na kolana się zwałókl i znów modlić się począł do Pana Jezusa, duszę Mu swoją polecając.

Gdy tak się modli, nagle roztoczyły się przed nim blaski tęczowe, a wśród nich ukazał się Pan Jezus z chlebem w ręce.

— Posilaj się i żyj, dobry człowiecze! — rzekł Pan Jezus, chleb mu podając. — Żyj, jak żyją biedni, którzy owoce twego miłosierdzia pożywają. Wierzyłeś, czyniłeś dobrze, więc łaski dostąpisz i nie zginiysz.

Przez siedem dni pożywał górnik chleb Pana Jezusa i rumowiska rozwałał, w końcu wy dostał się na świat.

Piękne to podanie posłużyło za temat do obrazu Piotrowi Stachiewiczowi, który przedstawił na nim prześlicznie chwilę, jak Chrystus podaje chleb zasypalnemu górnikowi.

Nie mniej groźnymi od zapadań się bywają pożary w kopalni, zdarzające się najczęściej wskutek

nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, rzadziej znacznie wskutek złej woli. Sól wprawdzie nie jest minerałem palnym, jak np. węgiel lub nafta, mogłoby się zatem wydawać, że obchodzenie się z ogniem w salinach nie wymaga żadnej szczególnej ostrożności. Ale z jednej strony pokłady soli zawierają nieraz gazy palne, których zajęcie się może łatwo wywołać wybuch; z drugiej zaś, jak wiemy, w salinach znajdują się całe pokłady zakopanych pni drzewnych, jako kanty, podtrzymujące sklepienia.

Nie trudno więc zapuścić ogień! A jeśli żywioł ten bywa tak groźny i straszny na powierzchni ziemi, gdzie przecie o uciechę jest względnie łatwo, możemy sobie wyobrazić, jak przerażające bywa położenie górników, których pożar zaskoczy w tych głębokich podziemiach.

Niestety, ogień wybuchał w kopalniach niejednokrotnie, przyczem niektóre pożary bywały nadzwyczaj groźne. Obawa przed ogniem była przyczyną zniszczenia w r. 1800 codziennej mszy rannej w kaplicy świętego Antoniego.

Szczególnie straszne były dwa pożary: jeden z wieku XVI, drugi w XVII.

Pierwszy z nich wybuchł w r. 1510, w początkach panowania Zygmunta Starego, na skutek złośliwości jednego z robotników, który, wychodząc z kopalni, podłożył ogień pod jednym z szybów. Wielu górników, zaskoczonych w salinach, podusiło się wówczas od dymu, wielu doznało rozmaitych kalectw, uciekając na oślep w przerażeniu.

Ogień ugasił z narażeniem własnego życia ówczesny żupnik, Andrzej Kościelecki. Gdy nikt z górników nie odważał się wejść do kopalni dla walki z rozszałałym żywiołem, zrobił to Kościelecki, dobrawszy sobie do pomocy Seweryna Betmana, rajcę krakowskiego, 70-letniego starca, który był wówczas przełożonym nad „górami“, to jest nad kopalnią.

Obaj ci odważni ludzie spuścili się na linie w głąb szybu, ale Kościelecki, odurzony dymem, omdlał, zanim dosięgnął do dna. Dopiero Betman ocucił go, znalazłszy się już w chodniku, poczem obaj z całym zaparciem się siebie ugasił ogień, poczem dopiero powrócili na ziemię.

Bohaterski postępek Kościeleckiego i Betmana wziął Matejko za przedmiot do jednego ze swych obrazów, przedstawiwszy na nim scenę, gdy obaj ci

odważni ludzie spuszcza ją się na linie w czeluść podziemną, z której buchają kłęby dymu i słupy ognia. Obraz Matejki z nadzwyczajną siłą oddaje grozę i nastroj tej wstrząsającej chwili.

Drugi wielki pożar, znacznie groźniejszy od tego, zdarzył się 16 grudnia 1644 r. Zapaliło się wówczas w skutek nieostrożności siano dla koni w szybie „Bonarowskiemu (dziś już zasypanym). W ogniu i dymie poginęli wszyscy ludzie, znajdujący się w szybie, jak również i wszystkie konie.

Ogień rozszerzył się w taką mocą, że nie było sposobu go ugasić, pomimo wszelkich wysiłków i starań. Szerzył się w kopalni przez 8 miesięcy, aż dopóki nie zgasł sam, strawiwszy wszystkie podpory drewniane i zapasy drzewa budulcowego. Możemy sobie wyobrazić, jak wielkie szkody wyrządził ten ogień, zarówno przez samo zniszczenie kopalni, jak i przez wstrzymanie robót prawie cały rok. Szyb Bonarowski został tak uszkodzony, że musiano go zasypać.

Górnicy przypisują ugaszenie tego strasznego pożaru cudowi św. Kingi.

Mianowicie, gdy zawiodły już wszelkie starania i wysiłki ludzkie, górnicy udali się tłumną pielgrzym-

ką do grobu swojej Patronki, do Starego Sącza, i tam błagali ją gorąco o łaskę. Wkrótce też potem ugasił ogień. Tablica pamiątkowa, wmurowana w klasztorze w Starym Sączu, opowiada nam o tej pielgrzymce i o cudzie św. Kingi.

Swoją drogą i ten ogień nie nauczył ludzi ostrożności, bo zaledwie w pięćdziesiąt lat później (w r. 1696) wybuchł znów straszny pożar, który również trwał do spalenia się wszystkich części drewnianych.

Gubił więc kopalnię ogień, nie pomijała jej również i woda: krąży ona podziemnymi strugami wśród pokładów, od czasu do czasu zaś wlewa się nagłym strumieniem do chodników, grożąc ludziom śmiercią, a salinom zagładą.

I o wodzie krążą wśród górników różne podania. Prości ludzie, nie mogąc sobie wytłumaczyć, skąd się biorą ciągle te nieskończone rzeki podziemne, wyjaśnili sobie ich powstawanie działaniem sił nadprzyrodzonych.

O powstaniu naprzykład jeziora w komorze Rosetti powiadają następujące podanie:

„Wiadomo, że górnicy, schodząc do szybu na robotę, zaopatrują się w bochen chleba, który im w cza-

sie odpoczynku służy za posiłek. Otóż niegdyś żył bardzo miłosierny górnik, który zawsze połowę chleba swego dawał jakiemuś biedakowi. Razu pewnego, nie znalazłszy biednego, zostawił cząstkę jałmużniczą na kamieniu, mówiąc do siebie: „Przyjdzie biedny, to zabierze“.

Jakoż zabrał, jeno nie biedny, ale dyabeł. — Zabrał, poleciał do piekła i nuż się z tem chwalić. Dyabli jednak oburzyli się na niego, złożyli sąd, z którego wypadło, żeby za karę pomagał przez cały rok w pracy górnikowi. Skrzywił się bies, ale usłuchać musiał. Przez cały rok odwałał bryły soli, gdy zaś przyszło odbierać zapłatę, spostrzegł, że dozorczy skrzywdzili górnika. Nazajutrz po obrachunku bies zaczął go namawiać, żeby na dozorcach się zemścił, lecz górnik odparł.

— Chybaś ty z piekła, że mnie do złego namawiasz!?

Bies, mniemając, że został poznany, uderzył w ścianę kopytem tak silnie, że pękła, a z otworu wytrysnęła woda, w którą zły duch dał nurka i umknął. Z tej właśnie wody utworzyło się jezioro w komorze „Rosetti“.

Inna legenda utrzymuje, że źródła podziemne Wieliczki łączą się z wodami Gdańska: „Pewnego razu odwalili ogromną bryłę soli, ważącą 200 centnarów ta zaś, spadszy ze znacznej wysokości, przebiła dno szybu. W otworze ujrzano wodę, spływającą gdzieś podziemnym korytarzem. Górnicy puścili na strumień zagadkowy kaczora, oznaczonego jedwabistą wstęgą na szyi, który wypłynął aż pod Gdańskiem“.

Wogóle wśród górników krąży mnóstwo najrozmaitszych podań i legend. Niema w tem nic dziwnego: kto pracuje tyle czasu w głębi ziemi, w wiecznym mroku, odcięty od światła i słońca, narażony każdej chwili na jakąś katastrofę, grożącą mu śmiercią, — ten musi się odznaczać silną wiarą w opatrzność Boską, ale ten zarazem posiada mnóstwo przesądów i zabobonów, które właśnie znajdują swój wyraz w tych podaniach.

W kopalni zablądzić łatwo, ciemność, tajemnicze głębie naokoło, mdłe światło latarki—wszystko to nastroja do wiary w nadprzyrodzone siły, w duchy, dyabły.

Wyobraźmy sobie, jak straszno musi być górni-

kowi, który oddaliwszy się chwilowo od towarzyszy, zabłądzi i nie wie, jak trafić do nich z powrotem.

Wrażenia takiego zabłąkanego górnika doskonale oddał Ludwik Stasiak w jednej ze swoich powieści z życia górników z wieku XVII:

„Kruszak błądzi po solnych wybojach, błąka się w drodze, w jakiś dziki ganek *) wleciał, na bezdroża idzie. Wody zaskórne ciekną, ił ślizki, pośliznął się, upadł na ziemię. Zerwał się, skrzeszał ognia: kaganiec zagasły na ziemi leży; patrzy: reszta oliwy rozlała się po ziemi. Knot ogromnym ogniem rozgorzał—kruszak bieży, dwa staje uleciał, paliwa zabrakło, — rozjarzył się poraz ostatni knot i zgasł. Człowiek idzie po ciemku. Górnik i kret w podziemiach po ciemku drogę znajdzie. Ale tylko wtedy, jeśli idzie po znanych działach **) jeśli obraca się w znanych mu przestrzeniach. Tu stara jakaś pustka, tu poraz pierwszy znalazł się Józef. Ciemność, okropna ciemność bez granic, jednego nie masz promienia światłości...

*) Ganek—galerya, chodnik.

**) Działo komora, pusta przestrzeń po wybranej soli.

Idzie. Wyciągnął ręce naprzód, jak ślepy, aby w skałę łbem nie uderzyć. Ręce same szukają drogi. Wie kruszak, że idzie szlakiem śmierci. Lada chwila wpadnie w przepaść, utopi się w rzapiu *) słonej wody, rozbija łeb o solny samoród.

Zziajany upadł na ziemię. Pot jakiś śmiertelny. Godziny mijają. Myśli, jak błyskawice. Zostać tu i umrzeć w tej pustce z głodu.

Trzeba iść. Dokąd? którądy?

Idzie górnik. Wszedł w jakąś suchą komorę, ręce uczuły stare, zeschnięte pnie sosnowe. Bez namysłu ogień krzesze, tli się szuba... Czemu poświecić? Rozdarł koszulę, kawał płótna szarpie, szmatą resztę oleju z kagańca wyciera, zbiera na szmatę tłuszcz, jaki jest wewnątrz kagańca, nawet na blasze, nawet na łańcuchu. Skręcił z płótna w knot i zapalił. W bladym ogniu sosnowe drzewo widać, pazurami oddarł szczepe, z odłamek drzewa pochodnię czynił; mając oświetloną drogę, pędem przez ganki leci.

*) Studnia.

Dopala się żagiew, parzy już w rękę drzewo,
naokoło sól i ily, nowych szczap nie masz, światło
zgasło, znowu ciemna droga...

Uszedł po ciemku kilkadziesiąt kroków.

— Wiatr!

Czyste powietrze ze świata przez szyb idzie. Sto
sięgów szybem przebył, a jednak ciepło żupy nie
było w stanie ogrzać chłodnej fali, jakby zapachy łąk
i zbóż, jakby promienie światła niosła tu wietrzna na-
wała. Wciąga krzeszek powietrze w nozdrze, wiatr
mu przewodnikiem, wiatr go prowadzi, powietrze ze
świata wskazuje, gdzie do szybów droga. Idzie
i idzie.

Już drabiny.

Jak kot w górę leci. Ciemność, a jednak pewny
jego krok, jakby tu tysiące pochodni płonęło. Bo gór-
nik w żupie pan, jako ryba w wodzie, jak ptak
w przestworzu...

Bieży na górę, trzydzieści drabin przeleciał, przez
okienka w poziomych wrotach światło dzienne widać,
ostatnia już drabina, już jest u celu.

Jedno błędzenie po kopalni może stać się powo-
dem tysiącznych opowiadań o duchach, tajemniczych

głosach, światłach i tym podobnych rzeczach. Co to się tam nie przywidzi takiemu górnikowi, błądzącemu wśród mroków? Czego on tam nie zobaczy siłą rozbujalej wyobraźni, podnieconej ciemnością i strachem.

Duchy kopalniane, według wierzeń górników, nie zawsze są złe, nie zawsze występują wrogo względem ludzi, ale zawsze prawie karzą surowo niegodziwców i chciwców, chcących wydrzeć im skarby podziemne. Dobrym natomiast przeważnie chętnie okazują pomoc i wyświadczają równe przysługi.

Bardzo pospolite jest wszędzie nie tylko w Wieliczce, ale i w innych kopalniach — podanie o skarbnikach, czyli duchach, opiekujących się wszystkimi płodami natury, ukrytymi w łonie ziemi. Ich to sprawą mają być różne tajemnicze odgłosy, które górnicy słyszą nieraz w podziemiach.

Nie są to duchy wrogie ludziom, nie należy ich jednak rozniewać, wówczas bowiem mszczą się srodo. Wzbudzają więc mimowolny lęk i zabobonny górnik ze drzeniem ogląda się po za siebie, gdy jest sam w jakimś oddziale kopalni. Większość, naturalnie, nie wierzy już dzisiaj w te różne duchy kopal-

niane, ale opowiadania o nich słyseć można bardzo często.

Wspomniamy wyżej Ludwik Stasiak, tak nam opowiada o tych skarbnikach.

„Kruszak boi się iść, choć przywykł do duchów w podziemiach. Wszak one żyją, dają znać o sobie, sól kopią. Gdy górnik siądzie na odłamany balwanie soli i je chleb, to choć na dziesięć staj żywej duszy niema, przecie ktoś kopie i kopie. Rąbie sól. Słyhać uderzenie kilofa *) o twardę caliznę **). To skarbnik. Duch maleńki, tak mały, jak kwiat lilii, duch zamknięty w caliznie soli. Mieszka on w swem więzieniu od czasu, gdy Bóg stworzył sól. Mieszka i kuje. Oto cisza. Zaleciało do uszu górnika echo... Przeszał jeść, dech wstrzymał, słyha... to skarbnik kuje...

Czasem wozak z rozkazu warcabnika ***) zosta-

*) Kilof — młot górniczy,

**) Calizna—nietknięta część pokładu przeznaczona do wybrania.

***) Warcabnik—nadzorca.

nie na noc w kopalni sam jeden, aby pilnować wybuchu zaskórnych wód, aby pilnować ognia. Naokoło niego dziesięć mil krążganków wyprawy, naokoło żupa niezmierna, pod nim piętra dolne, nad nim górne poziomy, a w tym labiryncie on sam... Nie sam. Oto ktoś kuje. Rąbie sól żelazem. Kilof dzwoni, calizna się sypie, sól odrąbana szeleści. Rąbie ktoś i kuje. To duch, skarbnik, maleńki, jak lilia.

Nieraz Kruszak widzi go na oczy. Na ścianie skalnej do pokładu się dobiera, trafił na samoród zielony, to szczera święta sól. Ujął kilof w ręce, wali nim w ścianę, wrył się w nią głęboko, dochodzi do miejsca, w którym mieszka skarbnik od tak dawna ak Bóg stworzył sól. Ostrze Kilofa rozrąbało, kruch), wpadło w ducha mieszkanko...

— Ogień!!!

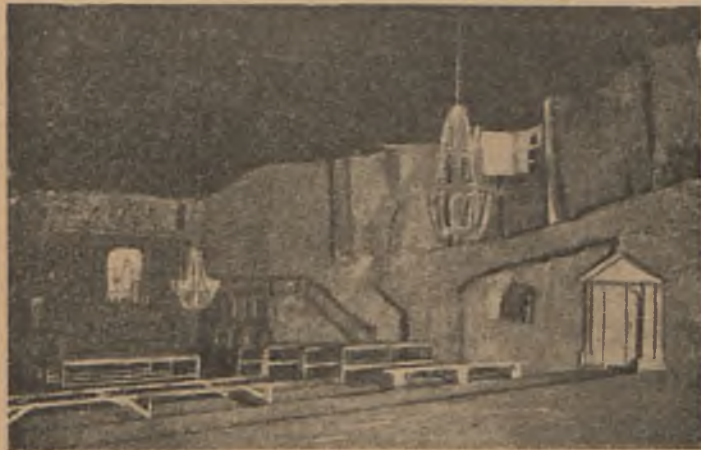
Światło się zjawia, sól zabłyśnie ogniem wielkim i zgaśnie. Duch spłonął.“

Podanie o skarbniku, ukazującym się górnikowi,

*) Kruch—bryła nieduża.

zużytkował Włodzimierz Tetmajer do jednego ze swoich pięknych obrazów.

A jednak pomimo niebezpieczeństw, czyhających w kopalni, pomimo grozy, jaką wywołuje pobyt w głębi ziemi, wśród wiecznego mroku, pomimo zabobonów i wiary w duchy złe i dobre,—górnicy pracują tam całe lata, śmiało pozostając sami w oddziałach, gdy im tak wypadnie: żyli się z kopalnią i z jej grozą i wiedzą dobrze, że katastrofy nie zdarzają się codziennie, a więc trapić się nimi naprzód i bez ustanku nie mają powodu. Od czego zresztą wiara w Opatrzność Boską i święte Patronki górników Kingę i Barbarę, pod których szczególną opieką kopalnia pozostaje od wieków?



Kaplica świętej Kingi.

VII.

Rozruchy w kopalni. Najazdy wrogów. Przejście Salin w obce ręce.

Mówiliśmy dotychczas o katastrofach żywiołowych, które nawiedzały Wieliczkę i wstrząsały kopalnią w sposób mniej lub więcej groźny.

Ale historia tych naszych salin nie byłaby zupełna, gdybyśmy nie wspomnieli bodaj krótko o kłeskach, których przyczyną byli sami ludzie — o rozruchach w kopalni, o najazdach wrogów.

Pamiętał król Kazimierz o górnikach, dbał, aby otrzymywali oni należytą płacę, aby mieli opiekę

w chorobie i zapewnioną starość, nadał więc im prawa i przywileje: Pamiętali o nich i Jagiellonowie.

Ale prawa królewskie to jeszcze nie wszystko. Wykonania ich pilnował i bezpośrednią władzę nad górnikami sprawował — żupnik albo dzierżawca kopalni. Od tych więc ludzi zależał w przeważnej mierze los górników.

Gdy zdarzył się żupnik sumienny i uczciwy, który dbał o zysk własny i dobro królewskie, ale nie zapomniał także i o górnikach, to działało się im wówczas dobrze. Ale gdy był nim człowiek zły i chciwy, myślący jedynie o wzbogaceniu własnej kieszeni, a nie troszczący się wcale o podwładnych sobie ludzi, złe czasy przychodziły wówczas na górników: zmniejszano im miarki soli, którą dostawali w dodatku, a jednocześnie zmuszano do ciężkiej roboty.

Szczególnie uciążliwi dla górników bywali dzierżawcy, którzy nieraz prowadzili czysto rozbójniczą gospodarkę: skusiwszy króla zobowiązaniem wypłacania mu wysokiego dochodu z salin, przekupiwszy niejednokrotnie przytem wysokich dostojników, aby popierali ich sprawę u króla, otrzymywali oni pożądaną dzierżawę i wówczas zaczęli gospodarzyć w sa-

linach, myśląc jedynie o własnej korzyści, a nie troszcząc się przeważnie wcale ani o los górników, ani o zniszczenie kopalni, którego nieraz bywali przyczyną. Istotnie bogacili się oni zazwyczaj przy tem ogromnie, ale co te ich zyski kosztowały pracy, łez, a nieraz i krwi ludzkiej!

Znali dobrze górnicy takich dzierżawców, to też zwykle sama wieść o wypuszczeniu salin w dzierżawę, przejściu ich z pod zarządu królewskiego w ręce prywatne wstrząsała nimi silnie i wzbudzała przerażenie strach przed uciskiem i niedolą.

Ludwik Stasiak we wspomnianej parokrotnie powieści podaje następującą scenę i rozmowę dwu górników, przejętych wieścią o wydzierżawieniu kopalni przez Radziejowskiego.

„Z szelestem, grzmiotem, z hukiem ogromnym spadł bałwan soli, odsadzony przez kruszaka od skalnej calizny, aż wichur powiał od lotu ogromnej bryły. Zmęczony, utrudzony Józef usiadł na samorodzie, prostując spracowane ręce. Pot rosą wystąpił mu na czoło, w stawach ogień się palił, trzeba odpocząć chwilę, aby żyłaste ramiona nowych sił do nowej pracy nabrały. Odpoczywał długo, już miał powstać i nie-

zmierny bałwan na kruchy porąbać, gdy w dalekim ganku *) echo się odezwało, człowiek na działo **) idzie, stąpanie tęnym, kamiennym łoskotem wśród pustek się rozlega. Coraz głośniejszy, coraz bliżej kroki ludzkie słycać, wnet wstąpił na działo starszy ***).

— Szczęść Boże!

— Daj, Panie Boże!

— Chodźcie, Józefie, na świat. Już czas.

— Nie mogę. Trzeba caliznę podzielić, kruchy ociosać, jutro wozacy po sól przyjadą...

— Niech sobie jadą. Alboż to nam pilno?

— Jakto nie pilno? I wy to mówicie? Starszy?

— Ja mówię. Mnie nie pilno składać czerwienice do worka, który i tak się przesypuje. Dopóki żupe miał najmiłociwszy nasz król...

— Oj, prawda! Ciężko człowiek pracował, sowsie od pana wynagradzany, przywilejami jego uhonorowany. Ojcem nam był król Kazimierz, który skarby niezmierne górnikom darował, ojcami były Jagiellony...

*) Ganek—galerya chodnik.

**) Działo — pusta przestrzeń po wybranej soli, komora.

***) Dozorca kopaczów

— Dziś sprzedano Radziejowskiemu i sól i nas ludzi, jako bydło, sprzedano.

— Radziejowski kupił za gotówkę najpierwszy, najzyskowniejszy urząd w koronie.

— Źle się w tej koronie dzieje. Każdy urząd wystawiony na sprzedaż...

— Radziejowski królowej Maryi Ludwice za urząd wielkorządcy żupnego osobną sumę po rękawiczną na stół wyliczył.

— Objął wielkorządztwo, górników ciemięży; aby w pierze porósć, chleba nam uszczuplił: Nie ze szabli jego dostatki, nie z roli, jeno ze soli.

— To też jako jego płaca, taka niech będzie nasza praca. Aby zbyć, aby zrobić coś dla oka pisarza, który po szybach lata“.

Nie zawsze jednak kończyło się tylko na takiej krytyce słownej. Doprowadzeni do rozpacz, postępowaniem dzierżawcy i jego uciskiem, górnicy chwyтали niejednokrotnie za broń, urządzali bunty a przynajmniej bezrobocia. Czasami uzyskiwali spełnienie swych wymagań, czasami narażali się jedynie na surowe kary.

Po jednym z buntów z wieku XVI, uśmierzo-

nym zresztą groźbą kary śmierci, górnicy uzyskali usunięcie różnych nadużyć a następnie i podwyższenie płacy.

Ale zato bezrobocie w końcu wieku XVII (r. 1690) zakończyło się dla nich fatalnie.

Niezadowoleni z różnych urzędzeń w kopalni a między innymi za zmniejszenia miarek soli, górnicy zawiesili pracę, ale nie wszyscy, pewna część bowiem nie należała do zmywy. Wówczas tamci, chcąc zmusić towarzyszy do przyłączenia się, rzucili się na nich i dwu z nich zamordowali.

Rozruchy przybrały tak szeroki zakres, że dla poskromienia ich sprowadzono wojsko królewskie. Uśmierzyło ono zbuntowanych górników, których następnie zmuszano do posłuszeństwa surowymi karami: czterech przewodców wbito na pal, sześciu ścięto, a następnie ciała ich poćwiertowano; ścięto nawet dwie kobiety, które, widocznie, bardzo gorąco i czynnie popierały sprawę swych mężów, ojców i braci. W ten sposób za nienasyconą chciwość i chęć wyzysku dzierżawcy polała się krew biednych górników.

Wiek XVII był w ogóle ciężkim wiekiem dla Polski i krwawymi głoskami zapisał się w jej dzie-

jach. I kopalnia wielicka była również widownią ciężkich przejść w tym wieku: Zapadały się w niej komory, zniszczenie szerzył ogień, bracia górnicy mordowali się wzajemnie i ginęli potem z ręki kata, a i wróg nie ominął salin.

Szwedzi, plondrujący za Jana Kazimierza po całej Polsce, nie ominęli i Wieliczki; a oprócz tego zaraz po najeździe (w r. 1657) trzeba było oddać saliny na kilka lat w zastaw Austrii w zamian za przysłane posiłki przeciw Szwedom, które, mówiąc nawiasem, stanęły kością w gardle i krajowi i ludności i dały się we znaki nie o wiele co mniej od najeźdźców. Łatwo zrozumieć, że pod ciężką ręką wrogów i obcych nie mogły kwitnąć kopalnie, ani dziać się dobrze górnikom.

Wróciły jednak znów saliny do Polski, ale nie długo cieszyły się spokojem

Wiek XVIII przyniósł im sporo klęsk, podobnie jak i XVII: zapadały się komory i działy, „Komeczna“, „Danielówka“, „Gołębie“ i „Gawrony“, waliły się domy nad nimi, co kilkanaście lat, a czasami i częściej; woda próbowała zalać kopalnię; łupili żupy Szwedzi

pod Karolem XII w czasie walki o tron między Le-
szczyńskim i Augustem II Sasem.

Ale mimo to wszystko saliny nie upadły i w przer-
wach między różnemi klęskami rozwijały się znakomi-
cie. W latach 1724—1730 stan żup wielickich był
tak świetny i produkcyja soli tak znaczna, że wysta-
wiono 20 składów wzdłuż Wisły.

Ale przyszły znów jeszcze cięższe czasy, czasy
panowania Stanisława Poniatowskiego, czasy wojen
i rozterek wewnętrznych, które szarpały kraj cały.

Wieliczka była widownią walk, saliny wydzie-
rano sobie z rąk do rąk, drżało miasto w posadach
od strzałów armatnich w czasie boju, który tu staczali
konfederaci barscy; mieszkańcy byli, przekonani, że
sklepienia komór w żupach nie zniosą tych wstrząsień,
że runą, a wraz z niemi zapadnie się i całemiasto.
Wtrzymało jednak..

Ale nie długo Wieliczka pozostała już w rękach
polskich. W r. 1772 przy pierwszym rozbiore Polski
saliny przeszły pod panowanie Austrii. Ostatni polski
żupnik, Wojciech Kluczewski, kasztelan-biecki, ustąpił
miejsca pierwszemu austriackiemu administratorowi

Heiterowi de Schonwethowi, który został mianowany starostą cyrkułu wielickiego.

Skończyło się polskie panowanie w Wieliczce i dawne czasy. Wprawdzie zajęło później znów Wieliczkę (w r. 1809) wojsko księstwa Warszawskiego, i księstwo potem miało nawet przez parę lat udział w zarządzaniu żupami i brało z nich dochód po połowie z Austryą. Ale trwało to bardzo krótko i wkrótce żupy wróciły znów niepodzielnie do Austrii.

Pod nowymi rządami i w nowych czasach saliny rozwijały się dalej.

Wiek XIX, wiek mnóstwa odkryć i wynalazków przyniósł im rozmaite udoskonalenia techniczne i przyczynił się do większego rozwoju zarówno samych sa-
n, jak i miasta. Wiele się zmieniło z dawnych urządzeń i zwyczajów: niema już jazdy na linie, ani taczania bałwanów soli po chodnikach, a zato mnóstwo szyn przecina kopalnię we wszystkich kierunkach i po nich konie ciągną małe wagoniki; na powierzchnię zaś ziemi wydobywa ją winda parowa, która służy również i dla ludzi; nie trzeba dziś pracowicie odbijać każdego kawałka soli od calizny, bo od tego są materiały wybuchowe; komory dla gości oświetla się

obecnie tysiącami wspaniałych lampionów zamiast kagańców, jak niegdyś... Nie poznałby Wieliczki dawny kruszak, gdyby wstał w grobu i znalazł się w jej podziemiach, zwłaszcza w czasie uroczystego zwiedzania salin.

Czyż jednak nie pozostało tu już żadnych pamiątek z ubiegłych lat, z zamierzchłe przeszłości? Czyż nowe czasy zmiotły je bez śladu?

Na to pytanie niechaj nam odpowie pan Feliks Piestrzak, inżynier górniczy, który swój opis żup wielickich kończy w następujący sposób:

„Z biegiem lat wszystko się zmieniło. Wieliczka, przyoblokła nową szatę, przystosowała się do ducha czasu i postępu. Miasto, dumne ze swej wiekopomnej przeszłości, wzrasta i rozwija się pomyślnie, kopalnia zaś postępuje naprzód i zyskuje z dniem każdym na sławie i znaczeniu.

Lecz czyż przeszłość kopalni jest całkiem skreślona? Czyż zatarte wszystkie ślady pracy naszych przodków?

Bynajmniej! Dawne drogi, wykute pracowitą dłoń górnika, utrzymały się po dzień dzisiejszy; dawne komory olbrzymie, budzące podziw zasłużony,

stoją i dzisiaj dumne i wspaniałe! Krzyże i kapiceł z wizerunkami i figurami świętych, przed którymi korzył się i kajał dawny górnik, prosząc o pomoc dla swej najdroższej rodziny, stoją, jak i ongi, a chociaż je niszczy ząb czasu, to przecież je utrzymuje i chroni cześć dla przeszłości“.



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



111074

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14